Nr 34 (1234). Warszawa, 7 (20) Sierpnia 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codzień, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ: POLITYKA: Odwiedziny w Marienbadzie. - Tydzień polityczny. — Z DALEKIEGO WSCHODU: Klucz Wschodu (c. d.), p. W. Sieroszewskiego. — ODCINEK: Selma Lagerlof: Marsz weselny — ŻYCIE SPOŁECZNE: Parę uwag w drażliwej sprawie, p. br. — Listy galicyjskie, p. Dalekiego. — Elegiści arystokracyi, p. Go—ona. — Dr. Karol Hertz (wspomnienie pozgonne). — FEJLETON: Pamiętnik. — BADANIA NAUKOWE: Nitrofikacya, p. A. Raszkowskiego. — LITERATURA i SZTUKA: Czterdzieści cztery, p. K. Radosławskiego. — Na marginesie. — Z prasy. — Kronika.

NAJWYŻSZE MANIFESTY.

Z BOŻEJ ŁASKI

MY, MIKOŁAJ DRUGI,

Cesarz i Samowładca Wszechrosyjski,

Król Polski, Wielki Książę Finlandzki,

itd. itd. itd.

Czynimy wiadomo wszystkim Naszym wiernym poddanym:

W dniu 30 lipca Najukochańsza Małżonka Nasza, Najjaśniejsza Pani Aleksandra Teodorówna, szczęśliwie powiła Nam Syna, któremu dano imię Aleksy.

Przyjmując to wydarzenie radosne za nowy dowód łaski Boskiej, na Nas i Nasze Cesarstwo zlewanej, wznosimy razem z Naszymi wiernymi poddanymi gorące modły do Najwyższego o pomyślny wzrost i rozwijanie się Naszego Syna pierworodnego, powołanego, aby był Następcą Tronu powierzonej nam przez Boga monarchii i wielkiej Naszej służby.

Manifestem dnia 28 czerwca 1899 roku powołaliśmy najukochańszego Brata Naszego, Wielkiego Księcia Michała Aleksandrowicza, aby był Naszym Następcą aż do narodzenia się Nam Syna.

Odtąd, na mocy zasadniczych praw państwowych Cesarstwa, Synowi Naszemu Aleksemu należy się wysoka godność i tytuł Cesarzewicza Następcy Tronu, ze wszystkiemi związanemi z nim prawami.

Dan w Peterhofie, w dniu 30 lipca w roku od Narodzenia Chrystusa tysiąc dziewięćset czwartym, panowania zaś Naszego dziesiątym.

Na oryginale własną Jego Cesarskiej Mości ręką podpisano:

MIKOŁAJ.

W nieustającej pieczołowitości około ochrony i utrwalenia spokoju i pomyślności Państwa, zrządzeniem Najwyższem Nam powierzonego, idąc za przykładem niezapomnianych poprzedników Naszych, błogosławionej pamięci Cesarzów: Mikołaja I-go, Aleksandra II-go i III-go, uznaliśmy za Nasz Święty obowiązek zająć się wskazaniem środków, jakie mają być zastosowane w razach nadzwyczajnych. Wobec tego i mając na uwadze małoletność Następcy Naszego Cesarzewicza i Wielkiego Księcia Aleksego Mikołajewicza, uznaliśmy za właściwe, na podstawie zasadniczych praw Państwa i ustawy o rodzinie Cesarskiej, postanowić i podać do wiadomości powszechnej, co następuje:

Po 1-sze: na wypadek Naszej śmierci przed dojściem najukochańszego Syna i Następcy Naszego do wieku, przez prawo określonego dla pełnoletności Cesarzów, rządzącym Państwem i nierozerwalnemi z niem Królestwem Polskiem i Wielkiem Księstwem Finlandzkiem aż do Jego pełnoletności, mianujemy najukochańszego Brata Naszego Wielkiego Księcia Michała Aleksandrowicza.

Po 2-ie: W rzeczonym wypadku opieka nad pierworodnym Synem i pozostałemi dziećmi Naszemi, aż do pełnoletności każdego z nich, w całej swej sile i rozciągłości, które określa prawo, powinna należeć do najukochańszej Małżonki Naszej, Najjaśniejszej Pani Aleksandry Teodorówny.

Zawczasu usuwając wszelkie w tym względzie wątpliwości przez postanowienie i ogłoszenie takiej woli Naszej o zarządzie państwa w czasie małoletności Naszego Następcy w pełnem czci poszanowaniu dla praw Naszej Ojczyzny, modlimy się do Najwyższego, aby błogosławił Nam w nieustannej Naszej pieczy o dalszy porządek, potęgę i szczęście państwa, powierzonego nam przez Boga.

Dan w Peterhofie, w dniu 1 sierpnia w roku od Narodzenia Chrystusa tysiąc dziewięćset czwartym, a Panowania Naszego dziesiątym.

Na oryginale własną Jego Cesarskiej Mości ręką podpisano:

MIKOŁAJ.

POLITYKA.

Odwiedziny w Marienbadzie

W ciągu bieżącego lata król Edward spotyka się już z drugim z rzędu panującym wielkiego mocarstwa europejskiego. Odwiedziny w Kiel, uważane za prostą grzeczność rodzinną, dotychczas w zupełnym ukrywają cieniu dyplomatyczną swą doniosłość. Odwiedziny z d. 17 b. m. u wód czeskich i z pozorów i z pobudek jawnych jeszcze bardziej noszą na sobie znamię czczej, dla polityki jałowej uprzejmości. Ale jak w czerwcu w porcie holsztyńskim cień dyplomatycznego interesu musiała krążyć koło biesiadniczego stołu kuzynów, uściskami stwierdzających w sobie jedynie tylko związek krwi, tak i teraz między nimfy zdrojowe Marienbadu niezawodnie wkradła się na przyjazd cesarza austryackiego megiera polityki. Monarcha wielkiego państwa nie może być nigdy człowiekiem prywatnym, chyba u siebie, w swym pałacu i w swojej rodzinie, i tu jeszcze rzadko kiedy cieszyć się może swobodą natury obnażonej z majestatu; tam, gdzie ich dwóch się znajdzie, wyciąga zaraz ku nim swe pazury polityka. Zwłaszcza w czasach tak wielkich wypadków, jak obecne, potrzebaby już wielkiej nieufności, wyłączającej możliwość samego spotkania, aby o sprawach, o których mówią wszyscy, nie pomówić w cztery oczy, a raz już puściwszy się na rozmowę, niepodobna znowu pomimo dyplomatycznego sznurowania ust nie wypowiedzieć pew-

nych mniemań, poglądów, przekonań, które choćby jak najmniej zobowiązywały, zawsze jednak dochodzą do umysłu i zostają w pamięci.

W Kiel król Edward z całą swoją miłością pokoju, która charakteryzuje go tak wybitnie, że to usposobienie królewskie przebija się wciąż niemal stylowo w mowach ministrów w parlamencie z powodu „Malakki" i „Knight-Commandora" — usiłował wywrzeć na cesarza Wilhelma wpływ powściągający jego rwanie się na Wschód dla powtórzenia tego, co mu się tak dobrze powiodło w r. 1894—5 podczas wojny japońsko-chińskiej. W Marienbadzie wielka sprawa wschodnio-azyatycka może pobudzić króla angielskiego raczej do zwierzeń bezinteresownych, niż do objawów urabiających już przekonania i kierunki polityczne. Austrya nie ma żadnego interesu i żadnej też roli na wschodzie Azyi; maleńkie jej interesa handlowe są wielkością niedostrzegalną: Anglia więc może o nią nic dbać jako wielkie mocarstwo handlowe. Ale za to wschód europejski, w sąsiedztwie Anglii, z Austryą już na tym wschodzie, gdzie rozwiązać się ma nietylko sprawa turecka, nietylko sprawa ludów bałkańskich, ale i sprawa samej Austryi, żywo, ze względu na cieśniny i Lewant i Azyę Mniejszą, obchodzić musi Anglię. Tu już nietylko teoretycznie, ale i praktycznie myśl polityczna stanąć musiała do rozmowy uprzejmego gospodarza z miłym gościem. Austrya związała się z Rosyą formalnie, nic jej jawnie z Anglią nie łączy; ale pomimo to ostateczna polityka Austryi, samodzielna lub bezwłasnowolna, pójdzie w kierunku nie umowy z Rosyą, będącej właściwie tylko dyplomatycznem zawieszeniem broni, ale celów i interesów polityki angielskiej. Bez Anglii ani sprawa Turcyi, ani sprawa Austryi na Bałkanach rozwiązaną być nie może.

Dlatego nie potrzeba wydymać wszystkowiedztwem dziennikarskiem i puszczać w świat migotliwych baloników, aby o spotkaniu w Marienbadzie mieć to przekonanie, że na nim poruszono sprawę półwyspu Bałkańskiego. Nie ma przy sobie król Edward żadnego ministra, nie miał i cesarz Fr. Józef p. Gołuchowskiego wieczorem d. 17 b. m; obaj nie mieli nawet swych sekretarzy pod bokiem. Politykę zagraniczną w Anglii robią ministrowie na gruncie angielskim, nie robi jej król na obczyźnie. Wszystko to jednak nie usuwa bynajmniej domniemania, narzuconego przez logikę. Nie o roboty polityczne tu chodzi, ale o porozumienie się zasadnicze, o rozjaśnienie pojęć i wątpliwości, o spotkanie się i zjednoczenie myśli i dążeń, na gruncie wspólnego interesu, tego boga wszelkich związków i przyjaźni. Gdyby p. Gołuchowski nie był człowiekiem o małym promieniu, gdyby politycy angielscy dochowywali wiary tradycyom Redcliffe'ów i Palmerstonów, gdyby wogóle czynne siły polityki europejskiej, polityki gabinetowej, na długie wieki jeszcze do sterowania losami ludzkości powołanej, dorastały do wysokości zadań, które zwaliły się na nią wraz z powstaniem wielkiego mocarstwa prusko-niemieckiego, jużby dawno Anglia i Austrya dążyły ku sobie i dążenie to odpowiedniem zachowaniem się w polityce międzynarodowej stwierdzały. Dla Anglii jedynem mocarstwem, które jej nie przeszkadza, są Austro-Węgry; gladstonowskie „Hands off," jak niepolitycznem było przed laty dwudziestu, tak nazawsze przebrzmiałem powinno być dzisiaj. I Austrya też innego szczerego sprzymierzeńca znaleźć by nie mogła w Europie, gdyby potrzebę jego uznała. Traktat październikowy z r. 1879 wygląda dziś raczej na pułapkę berlińską, niż na przybytek przyjaźni politycznej, dający Austro-Węgrom ostoję w Niemczech przed Rosyą. Oczywiście, w Marienbadzie nie posunięto się aż do widzenia tej prawdy, ale nie opierano się może wzajemnemu ku sobie ciążeniu, przynajmniej w obrębie spraw bałkańskich. Do zasadniczej wymiany myśli niepotrzebni byli ministrowie, niepotrzebne jakieś doraźne roboty. Jeśli tylko będzie wola, znajdą się i ręce i czas na ich dokonanie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wiele faktów nowych i ważnych — na widowni wojennej. Współczesny napad Japończyków od południa i od wchodu na armię gen. Kuropatkina w d. 30 i 31 lipca i 1 sierpnia miał ten skutek, że armia ta stanowczo już ścieśniła się około Liao-jangu, sięgając ku południu do Anszan-czyangu, bez zamiaru jednak bronienia tej miejscowości, ku zachodowi zaś na jakie 7—10 kilometrów od zdobytych w d. 1 sierpnia przez Japończyków stanowisk nad środkową Taitsi-ho i jej lewym dopływem, u wyjścia z wąwozów gór zewnętrznych rozległego Tiang-szanu. Pora deszczów, po krótkiej przerwie, użytej na wiadome już działania i ich wyniki, trwająca już około dwu tygodni, powstrzymała dalsze wypadki na lądzie Mandżuryi. Od strony zachodniej, gdzie kraniec widowni biegł dotychczas korytami Liao-he, jej lewego dopływu Hun-ho i do tej rzeki również z lewego brzegu wpadającej Taitsi-ho — wszystkich trzech prawie równoległych do siebie — deszcze potęgują jeszcze tę naturalną przeszkodę rzeczną. Nizina zamienia się w jeden moczar, który przetrwa porę deszczową i dając osłonę gen. Kuropatkinowi, jednocześnie utrudni mu w wysokim stopniu ruchy ku zachodowi po rozpoczęciu się nanowo działań wojennych.

Selma Lagerlöf.

MARSZ WESELNY.

Wiele lat temu w Svartsjo, w Värmlandzie, miało się odbyć wielkie wesele. Naprzód ceremonia kościelna, a potem trzy dni trwające ugoszczenie. A każdego z tych trzech dni tańce od wczesnego wieczora do późnej nocy.

Z powodu tych tańców było rzeczą naturalnie bardzo ważną zamówienie dobrego muzykanta. To też gospodarz, Nils Olofson, który wesele wyprawiał, bardziej się o to troszczył, niż o cokolwiek innego. Nie chciał jednak wezwać grajka, którego mieli wówczas w Svartsjö. Zwał się on Jan Oester i, jak Nils dobrze o tem wiedział, był wielce ceniony, ale tak biedny, że częstokroć w podartym kaftanie i bosy przybywał na wesele. Takiego obszarpańca nie chciał bogaty chłop postawić na czele ślubnego orszaku swej córki.

Zdecydował się więc posłać do jednego człowieka w Jösselsprengel, którego zwykle zwano grajkiem Marcinowskim, z zapytaniem, czyby nie zechciał grać u niego na weselu. Grajek Marcinowski nie namyślał się ani chwili i dał odpowiedź, że do Swartsjö nie pojedzie i grać nie będzie, gdyż tam już mieszka muzykant lepszy, niż oni wszyscy razem wzięci w całym Varmlandzie. A dopóki jego mają, żadnego innego nie potrzebują.

Nils Olofson, otrzymawszy taką odpowiedź, namyślał się znowu dni parę; poczem wyprawił posłańca do grajka, mieszkającego w parafii Storakils, nazwiskiem Olle z Säby, z zapytaniem, czyby nie zechciał przyjechać i grać na weselu jego córki. Lecz Olle z Säby odpowiedział to samo, co grajek Marcinowski. Kazał mianowicie oznajmić Nilsowi Olofsonowi, że grać do Svartsjo nie pojedzie, dopóki tam mają takiego wybornego muzykanta, jak Jan Oester.

Nils Olofson nie mógł na to pozwolić, żeby mu narzucano człowieka, którego on nie chciał, i tembardziej zawziął się w postanowieniu sprowadzenia innego grajka. W parę dni po odebraniu odpowiedzi od Ollego z Säby, posłał sługę do Larsa Larsona, który mieszkał w parafii Ullerud. Był to człowiek dostatni, właściciel pięknego dworku, mądry i z zastanowieniem, nie żaden paliwoda, jak inni grajkowie. Ale i temu, jak poprzednim, przypomniał się zaraz Jan Oester, więc zapytał, dlaczego on nie miał grać na weselu? Sługa Nilsa Olofsona, chcąc być niby sprytnym, odrzekł, że ponieważ Jan Oester mieszka w Svartsjo, więc go tam ciągle wszyscy słyszą, a Olofson, wyprawiając takie wspaniałe wesele, chciałby dać gościom coś lepszego i rzadszego.

— Wątpię, zeby mógł dostać coś lepszego — odparł Lars Larson.

— Ach, chcecie panie to samo powiedzieć, co grajek Marcinowski i Olle z Säby — rzekł sługa i opowiedział, jak mu z nimi poszło.

Lars Larson uważnie wysłuchał opowiadania sługi, siedział długo, milcząc i rozważając. W końcu przyjął zaproszenie.

— Powiedz swemu panu — rzekł — że mu dziękuję i przyjadę.

Następnej niedzieli wyruszył więc Lars Larson do Svartsjö. Wjeżdżał właśnie na wzgórek kościelny, kiedy orszak weselny zbliżał się do świątyni. Przyjechał własnym wózkiem, zaprzężonym w dobrego konia, ubrany w czarny strój sukienny i wyjął skrzypce z futerału. Nils Olofson powitał go przyjaźnie i pomyślał sobie, że to grajek, którego zaszczytnie zjednać sobie.

Tuż za Larsem Larsonem wszedł do kościoła Jan Oester ze skrzypkami pod pachą, jak gdyby wezwany do grania na weselu i zmierzał wprost do orszaku, otaczającego pannę młodą.

Przybył, jak zwykle, w starym kaftanie, który już od wielu lat znano; ale na cześć tak wielkiego wesela żona zaszyła mu dziury na łokciach, wstawiając zielone łatki. Jan Oester był wysokim, pięknym mężczyzną i wyglądałby wspaniale na czele orszaku, gdyby miał lepszą odzież i twarz mniej troskami i walką z nieszczęściem pooraną.

Zmieszał się trochę Lars Larson, zobaczywszy wchodzącego Jana Oestera.

— A więc i jego zaprosiliście także? — rzekł półgłosem do Nilsa Olofsona. — No, nie szkodzi, że nas dwóch będzie na tak wielkiem weselu.

— Nie zaprosiłem go — odpowiedział Olofson. — Nie pojmuję, jak mógł przyjść. Czekajcie, powiem mu zaraz, że tu dla niego niema miejsca.

Straty rosyjskie w trzydniowych bitwach nie są dotychczas wiadome; to tylko pewna, i to widać z buletynów urzędowych, że były dotkliwe.

Pod Portem Artura Japończycy czynią wszelkie wysilenia ku zdobyciu twierdzy. Opanowawszy już d. 30 z. m. ważne bardzo wzgórze Wilcze na zachód od właściwego portu, znaleźli się w możności ostrzeliwania samych warowni wewnętrznych. Nowe napady od 5 do 10 b. m., codziennie prowadzone, głównie potężną artyleryą, pozwoliły im, przy częściowem niepowodzeniu, ostatecznie zająć od wschodu utracone poprzednio wzgórze takuszańskie, którego posiadanie od tej strony tak samo otwiera dla armat warownie portowe, jak od zachodu owa Góra Wilcza. Posiadanie jej jest może jeszcze ważniejszem, daje bowiem możność ostrzeliwania i przystani wewnętrznej i fortów nadmorskich, ciągnących się w przedłużeniu Złotej Góry. Admirał Togo, głównie dowodzący działaniami oblężniczemi, wezwał komendanta twierdzy, gen. Stössela, do wydalenia ludności cywilnej, która też bez zwłoki i bez przeszkody ze strony Japończyków opuściła miejsce okropności, zniszczeń i zagłady.

Korzyści odniesione przez Japończyków, mimo całego męztwa obrońców, których liczbę ten i ów korespondent przesadnie podaje w samej armii lądowej na 30—35 tysięcy, umożliwiły skierowanie na twierdzę tak straszliwego ognia, takiego deszczu szrapneli i granatów, że zabójcze działanie ognia musiało być główną sprężyną w chwili danej, wyrzucającą flotę kontradmirała Withefta z portu na pełne morze. Stało się to d. 11 b. m. Flota rzeczywiście zdołała się wymknąć, ale nie udało się jej spokojnie wpłynąć na przestwór morski, od pancerników japońskich już wolny. Japończycy, mając liczebną przewagę, przytrzymali eskadrę, stoczyli bitwę, ciężko uszkodzili okręt „Cesarzewicz,“ krążownik „Askold“ i dwa inne, a co najważniejsza, przerwawszy łańcuch taktyczny eskadry, rozproszyli ją na wszystkie strony. Cztery okręty wielkie schowały się aż do niemieckiego Kiaou-czau, do przystani nadbrzeżnej Tsin-tau; w Szang-hai znalazł schronienie „Askold.“ Admirał Witheft poległ. Niewiadomo co się stało ze statkiem „szpitalnym“ „Mongolia.“ Japończycy z portu w Czyfu uprowadzili torpedowiec „Reszytelnyj,“ wprawiając w niemały kłopot Chiny i ich dyplomacyę.

Nie obyło się bez kłopotu i dla Niemiec. Przewidując napad ścigających okrętów japońskich, komendant niemiecki w Kiao-czau postawił przed okrętami rosyjskimi krążownik niemiecki: nie wiedział jeszcze, co robić i czy w polityce niemieckiej, opartej na zasadach neutralności życzliwej dla Rosyi, nie przeważy argument, że okręty wyruszyć nie mogą, bo potrzebują napraw; ale okazało się, że przeważył wzgląd na zwyczaje, czyli t. zw. prawo międzynarodowe, które nakazuje po 24 godz. pobytu w porcie neutralnym każdy statek wojenny rozbrajać. Z powodu wszakże ważności wypadku zastosowanie się do zwyczaju nastąpiło dopiero na wyraźny, telegraficzny rozkaz samego cesarza Wilhelma.

W cztery dni później (14 b. m.) u południowo-wschodniego wybrzeża Korei eskadra władywostocka natknęła się na flotę japońską; dwa okręty w walce doznały uszkodzeń. „Ruryk“ poszedł na dno. Prawdopodobnie eskadra zamierzała u wyspy Tsu-szyma przedrzeć się na morze Żółte.

W polityce najważniejszym jest powyższy rozkaz ces. Wilhelma. Była to niejako chwila przełomowa obecnej wojny, chwila rozstrzygająca o wyborze ces. Wilhelma pomiędzy doraźnem, bezpośrednio już dla Rosyi korzystnem wmieszaniem się w wojnę a cierpliwem wyczekiwaniem sposobności do zamienienia krwawej rozprawy dwu mocarstw azyatyckich w bezkrwawą, dyplomatyczną całej Europy, a więc i Rosyi jako mocarstwa europejskiego, i całej rasy białej przeciwko Japonii i Chinom, jako rasie żółtej. Paroksyzm berliński skończył się przesileniem dodatniem, oczywiście, nie bez nacisku Anglii, który może już w Kiel miał pierwszy swój moment zasadniczy.

Anglicy weszli do Lhassy d. 3 b. m. Dalaj-lama umknął; ale nie umknie konieczność porozumienia się z Anglią, w mowie rozsądku — poddania się pod jej protektorat, a raczej monopol polityczny.

D. 10 b. m. zmarł pod Paryżem Waldeck-Rousseau, twórca prawa o stowarzyszeniach z r. 1901, poprzednik Combes'a, jedna z wyższych wartości politycznych dzisiejszej Francyi.

Sejm węgierski rozszedł się d. 11 b. m. szczęśliwie na wakacye — oby jak najdłuższe.

W Opawie Niemcy na d. 18 b. m. przygotowali przeciwko klasom równoległym manifestacyę nielojalności przeciw Franciszkowi Józefowi.

W Bukowcu, już na kresach brandenburskich, powtórzyła się na mniejszą skalę Września. Zjechały na miejsce wszystkie prześwietne władze. Dzieciom landrat zagroził *zuchthauzem!* Pewno będzie katownia. — P. Józef Żychliński, były właściciel sprzedanego komisyi kolonizacyjnej Modliszewa, nazwał wprawdzie czyn Bnińskiego „łajdactwem,“ ale sam nie ma energii potrzebnej do oczyszczenia się z podejrzeń, że i jego biegun magnetyczny niedaleko pada od tego, ku któremu stale już zwraca się rzeczywisty łajdak, jakim jest wrzekomy nabywca Modliszewa. *Kuryer Poznański* słusznie domaga się od p. Żychlińskiego wystąpienia z akcyą cywilną o rozwiązanie umowy: jeśli p. Żychliński jest czystym, to p. Żychliński żądanie dziennika i wszystkich ludzi uczciwych spełni, a jeżeli nie spełni, to i czystym nie będzie. *Tertium non datur.*

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

XV. Dalej na południe i zachód. Odzież korejska.

Zwolna, przebywając niewysokie przełęcze, przedostajemy się z kotliny w kotlinę. Niektóre uprawne są, jak ogrody i zadrzewione pięknymi gajami starych drzew. Wiosek, jak nasiał. Na polach

---

— Dajcie pokój, zrobicie awanturę. Lepiej posłuchajcie mojej rady i przywitajcie się z nim po przyjacielsku. Słyszałem nieraz, że to człowiek gwałtowny i nie można zaręczyć, czy nie zacznie zwady, jeżeli mu powiemy, że nie jest zaproszony.

Zgodził się więc chłop, że teraz, kiedy orszak weselny już się uszykował u wejścia do kościoła, nie należało rozpoczynać kłótni. Zbliżył się przeto do Jana Oestera i pozdrowił go; poczem obaj grajkowie stanęli na czele korowodu. Wprowadzono państwo młodych pod baldachim, dalej ustawili się drużbowie i drużki, para za parą, a za nimi rodzice i krewni długim, wspaniałym szeregiem.

Kiedy już wszystko było gotowe, podszedł drużba do muzykantów i poprosił, aby zagrali marsz weselny. Obaj podnieśli skrzypki do góry i oparli na nich brody, ale żaden smyczkiem nie ruszył. Był taki zwyczaj w Svartsjö, że najlepszy grajek zaczynał pierwszy grać marsza weselnego.

Drużba spojrzał na Larsa Larsona, ten patrzył na Jana Oestera i rzekł:

- Jan Oester musi zaczynać.

A Jan Oester nie pojmował, żeby człowiek tak pięknie ubrany, jak najprzedniejszy z panów, nie miał być lepszy od niego, który w podartym kaftanie przybył tu z biednej chaty, gdzie panowała nędza i głód, więc rzekł:

— Nie, jako żywo! nie ja!

Wówczas pan młody wyciągnął rękę i trącając Larsa Larsona, zawołał:

— Niech Lars Larson zaczyna!

Kiedy to usłyszał Jan Oester, odjął skrzypce od twarzy i cofnął się. Ale Larson nie poruszył się, stał spokojny i z siebie zadowolony, nie podnosząc smyczka.

— Niech zaczyna Jan Oester! — powtórzył.

A powiedział to takim głosem, z taką zaciętością i uporem, jak człowiek przyzwyczajony, aby się wszystko podług jego woli działo.

Zgromadzenie zaniepokoiło się tą zwłoką. Wysunął się naprzód ojciec panny młodej i zaczął prosić Larsa Larsona, aby zaczynał. Zakrystyan stał we drzwiach kościoła i dawał im znaki, żeby się spieszyli. Ksiądz czekał u ołtarza.

— Proś więc Jana Oestera, żeby grać zaczął — odrzekł Lars Larson. — My, muzykanci, uważamy go za najlepszego z pośród siebie.

-- Może być — odparł chłop — ale my, chłopi, uważamy ciebie, Larsie Larsonie, za najgodniejszego.

Tu obstąpili go inni gospodarze, a wszyscy mówili:

— Zaczynaj! bo proboszcz już czeka i wszyscy się z nas śmieją.

Lars Larson niewzruszony powtarzał wciąż z uporem.

— Nie rozumiem dlaczego ludzie w tej parafii nie chcą, ażeby ich własny grajek był ze wszystkich najlepszy.

Nils Olofson pienił się ze złości, bo widział, że wszyscy się sprzysięgli, ażeby mu narzucić Jana Oestera. Podszedł więc blizko do Larsa i rzekł cicho:

— Teraz ja widzę, żeś to ty Jana Oestera tu sprowadził, wszystko tak ukartował, aby go uczcić. Ale ja ci mówię, zaczynaj muzykę, bo jak nie, to ja tego obdartusa przepędzę stąd zaraz, gdzie pieprz rośnie.

Lars Larson spojrzał mu prosto w twarz i kiwnął głową bez najlżejszej oznaki gniewu.

— Tak, masz słuszność— rzekł — trzeba to raz skończyć.

I przywzwał Jana Oestera na dawne miejsce, sam zaś cofnął się o parę kroków wstecz i stanął wyprostowany, aby go wszyscy widzieli; smyczek smyrgnął daleko od siebie, a wydobywszy nóż z kieszeni przeciągnął nim po strunach swych skrzypiec. Wszystkie pękły ze świstem.

— Nikt nie powie — zawołał — żem się po nad Jana Oestera chciał wywyższyć.

A Jan Oester od trzech lat nosił się z pieśnią, która w duszy jego była, ale na strunach wygrać jej nie mógł, bo mu ciężka i ustawiczna troska w tem przeszkadzała i nie znajdował w życiu tego, coby ponad codzienne udręczenie dźwignąć go mogło. Gdy jednak posłyszał świst, pękających strun Larson, podniósł głowę w górę i głęboko wciągnął powietrze. Twarz mu skamieniała, niby wsłuchana w dźwięki, płynące z dali. Zaczął grać. Pieśń, nad którą od lat trzech się biedził, zadźwięczała w nim jasno. Dumnie wyprostowany wchodził do kościoła. Nigdy jeszcze przedtem nie słyszano takiego grania. Porywało wprost, że nikt nie mógł ustać.

Weselnicy byli tak wzruszeni, że wszystkie oczy pokryły się mgłą rozrzewnia, kiedy orszak do kościoła wstępował.

i drogach coraz ludniej. Zbliżamy się do granicy najgęściej zamieszkanej, stołecznej prowincyi Kiön-gyj-do.

Wązka dolina, zasłana głazami, wkoło nagie wzgórza z kępkami lasów sosnowych i liściastych, rzeczułka płynie wzdłuż wschodniego zbocza, w dali na małej wyniosłości stare, napół rozwalone domy szlachty korejskiej (jan-bań). Ocalał tylko dach, ściany opadły i wiatr hula swobodnie śród słupów drewnianego rusztowania.

— A gdzież właściciele?

— W Seulu. Ziemię dzierżawią chłopi.

Na burych rżyskach widać białe figury pracowników, znoszących snopy na własnych barkach. Idą wolno, mocno zgarbieni i często wypoczywają, przykucnąwszy z fajeczkami w zębach w cieniu swych wielkich jak stogi nosz, ustawionych rzędem wśród drogi na wysokich „cżi-ga," do malbretów podobnych, trójnogich nosidłach. Słońce pali, jak u nas w lecie. Znowu widać wioskę u drogi. Tonie w obłokach złotego kurzu i niezliczonej ilości niedużych, żółtych, napół rozebranych brogów. Na ulicy młócą zawzięcie zboże; cała ona zasłana snopami, kupami omłotu i warstwami suszącego się ziarna na wielkich płachtach i matach. Ledwie można bokiem przejechać. Cepy stukają wesoło, ziarno szemrze, sypane strugą przez kobiety z wysoko wzniesionych nad głowami sit dla odwiania. Rozłakomione konie machają łbami i, wydzierając nam z rąk tręzle, cicho, zdradziecko stąpają po grubem ścielisku plewy, kierując się nieznacznie w stronę ponętnych stożków złotawych. Ale wieśniacy pilnie na wszystko dają baczenie, ma-phu zaś, wiedząc co go czeka, zapomniał o ciężkiej swej żałobie i żywo pokrzykuje na konie. Wioskę nazwano mi Podel-koge. Wokoło dużo pól ryżowych. Za wioską, na podgórzu, dziesiątek dębów czy wiązów stanęło pojedyńczym rzędem w pięknem półkolu, a wśród nich — dwie kapliczki. Mała przełęcz. Za przełęczą zamknięta dolina, pełna pól ryżowych, błyskających od wody, okolona błękitnemi od skwaru górami. Na bladych ich wiszarach ciemnieją gdzieniegdzie zarośla sośniny. Nad niemi, w słonecznem przestworzu zatacza potężne kręgi czarny orzeł korejski z rozpostartemi bez ruchu skrzydłami. Mamy letni wprost upał, ale w nocy musiało być zimno, gdyż w zarosłej trzciną sadzawce woda ścięta lodem. Okolica poprzerzynana kanałami, w których wszędzie mruczy woda. Małe mostki kamienne wiodą przez nie. Spotykamy cały orszak kupców, a może bogatych podróżnych, jadących w odwiedziny do dalekich krewnych lub grobów rodzicielskich. Siedzą na grzbietach koni, na deskach, położonych na jukach wierzchowców i kołyszą się sennie w takt ich chodu. Towarzyszy im malec w różowej świtce na ładnym mule.

Przechodzą żwawym krokiem tragarze, niosąc czarne pudełko szczelnie zamkniętej lektyki, ale przez małe, otwarte na przodzie okienko dostrzegłem twarz młodej i ładnej kobiety. Towarzyszący lektyce rosły Korejczyk obrzucił nas ostrem spojrzeniem. Znowu niewysoka przełęcz kamienista; za nią pod wielkim dębem mały szałas, słomą kryty, w nim fetysz i pęki zbóż. Przebyliśmy 45 „i" od noclegu i zatrzymujemy się na popas. Wieś zwie się Nięg-dam, jest dość duża i widocznie zamożna. Dostrzegam na ulicy jakieś zbiorowisko i, zsiadłszy z konia, idę ku niemu. Stoi tam na ziemi lektyka, dwie kobiety klęczą obok i wkładają do niej podarki i węzełki, mężczyźni szykują drążki, tłum dzieci czeka cierpliwie na jakieś widowisko. Po chwili z sąsiedniej chaty wychodzi w towarzystwie kobiet młoda Korejka w żółtym, jedwabnym kaftaniku i buraczkowej, również jedwabnej spódnicy, jest mężatka, gdyż włosy ma zaplecione w dwa warkocze, jest śmiała i postępową, gdyż nie chowa się, spostrzegłszy cudzoziemca. Powiadają mi, że to jest młoda mężatka, która opuszcza po krótkim pobycie rodziców, aby wrócić do męża. Proszę, aby pozwoliła się odfotografować, zgadza się z miłym uśmiechem... Oho! Musi być bardzo postępowa, gdyż ma zęby plombowane złotem, co żadną miarą nie mogło się obyć bez dotknięcia Japończyka, gdyż innych tu niema. Prawowierna Korejka woli umrzeć, niż znieść taką hańbę; nawet w ciężkiej chorobie lekarz może badać tylko pulsy na ręce i nodze kobiety, wysuniętej z pod grubej zasłony i pokrytej jedwabną tkaniną. Gdy młoda kobieta wsiadła do lektyki, długo jeszcze schylały się ku niej różne niewiasty, szepcząc i podając jej rozmaite drobiazgi, zanim zatrzaśnięto drzwiczki. Raz jeszcze odchyliła zasłonę. Wreszcie lektykarze schwycili za drążki, podnieśli pudło i ruszyli posuwistym krokiem. W czarnem, do trumny podobnem pudle rozległ się stłumiony płacz, ale nikt na to nie zważał, ogólna ciekawość wyłącznie zwróciła się już na mnie. Młody, wykwintnie ubrany brat odjeżdżającej, prosił, abym mu pokazał aparat i „wszystko, co mam ciekawego..." Pokazałem mu kompas, lornetkę, pióro z atramentem.. Oglądał pilnie i zwracał z grzecznym ukłonem. Wówczas poprosiłem go z kolei, aby mi pokazał, co nosi u pasa w małym, ładnie wyszytym woreczku z zielonego jedwabiu. Wyjął z pewną dumą małe lusterko, grzebyk szyldkretowy, deszczułkę do gładzenia brwi i jeszcze jakieś drobiazgi toaletowe. W drugim woreczku miał fajeczkę, tytoń i zapałki. Był żonaty i należał pewnie do jan-baniów (szlachty), włosy zaczesywał w pęczek na czubku głowy, przewiązywał kolorową wstążką i przykrywał przejrzystym, czarnym kołpakiem.

Długi czas nakrycie głowy było jedną z głównych oznak należenia do rozmaitych stanów. Przed reformą 1894 r. włosienne kapelusze w kształcie cylindra z prostymi, wielkimi brzegami (kat) miała prawo nosić wyłącznie szlachta. Obecnie są one w powszechnem użyciu, ale jeszcze w 1895 r. rzeźnicy seulscy podali petycyę z prośbą o rozszerzenie i na nich prawa noszenia opaski do podtrzymywania włosów (man-gon) i kapelusza włosiennego (kuani albo kat *). Ograniczenia tyczyły się również i innych części odzieży. Szerokie rękawy były własnością klasy uprzywilejowanej, miała ona wyłącznie prawo do zwierzchniego chałata z rozporkiem, do używania ubrania z jedwabiu kolorowego, do czarnych, sukiennych lub skórzanych butów z ostrymi nosami. Studenci, nauczyciele, uczeni mieli prawo nosić wielorogie, włosienne berety i dziś często je dostrzedz można na ulicach, ale inteligentny Korejczyk, spytany przeze mnie, czy wszyscy, co je noszą, należą do ciała naukowego, roześmiał się;

— Tak było dawniej! Dziś wielu z nich może zaledwo czytać umie... Wkładają berety i okulary, aby dobrze o nich myślano.

Okulary, duże, okrągłe, w szyldkretowej oprawie, istotnie w wielkiej są modzie. Urzędnik, który mię prowadził do grobowca zabitej królowej, ten sam co przedtem żartował z okularów, przed wdaniem się w rozmowę z oficerami straży włożył na nos olbrzymie szkła, proste, rozumie się, gdyż widział doskonale. Podobno używanie okularów rozpowszechniło się w Korei dopiero około połowy ubiegłego stulecia.

Po za tem krój ubrania (osi) wszystkich warstw narodu korejskiego jest obecnie jednakowy. Składa się on ze spodni (letnich — padi, zimowych — po-sok-oj, wogóle — koyi) suto fałdowanych u bioder i zwężających się ku kostce. Kobiece (spodnie z rozporkiem—tan-sokoj, zwierzchnie—poti, wogóle — ne-sokoj), są trochę węższe i od kolana ściśle obejmują łydki. W pasie ściągają się one wszytą wewnątrz tasiemką.

Mężczyźni nawet w lecie noszą watowane nabrzuszniki, za to w czasie pracy obnażają się nieraz zupełnie, pozostając jedynie w krótkich i wązkich spodeńkach. Barki okrywają Korejczycy kurteczką z rękawami (szjang-sok-koi), zapinaną, a raczej zawiązywaną pod szyją. U mężczyzn sięga ona poniżej dołka, ale u kobiet (czagori) jest tak krótką, że nie zakrywa piersi. Koszuli Korejczycy nie znają. Spodnie i kurtkę (czagori) wdziewają wprost na gołe ciało. Zwierzchnie ubranie, które Korejczyk nosi przeważnie na ulicy lub idąc w odwiedziny, ma kształt długiego chałata za kolana, z wykładanym kołnierzem i szerokimi rękawami. Kobiety wkładają obszerne spódnice (czhuma), ściągane tasiemkami w pół ciała, ale zachodzące brzegiem aż pod pachy. U kobiet z ludu sięgają one zaledwie kolan, ale u zamożnych i uprzywilejowanych spadają do ziemi. Jest to strój bardzo niezgrabny, szczególniej z powodu swej sztywności, gdyż Korejczycy mocno krochmalą swe białe, bawełniane tkaniny, używane przez wszystkich bez wyjątku, jako podstawa ubrania. Lud prosty, nawet zamożne, średnie warstwy nie noszą nic innego. Jedynie ludzie bogaci, dworzanie i urzędnicy narzucają na kurtki i spodnie, zastępujące bieliznę, zamiast perkalowego chałata, takiegoż kroju jedwabny. Są tacy, co i kurtki i spodnie noszą jedwabne, ale tych mało.

Jedwabne szaty zawsze są kolorowe: jasno żółte, różowe, wiśniowe, jasno zielone, bronzowe, niebieskie, fioletowe. Mężczyźni noszą zwykle barwy ciemniejsze, dygnitarze ubierają się w kolory niebieski i fioletowy. Dzieci, dziewczęta oraz młode mężatki, nawet z prostego ludu noszą kaftany różowe lub ciemno-żółte, oliwkowe; kobiety do lat trzydziest mogą ubierać się fioletowo, ale starsze używają wyłącznie koloru białego. Wychodząc na ulicę kobiety zamożniejsze, szczególniej młode, zarzucają na głowę długie okrycie (czang-ot), mające zresztą rękawy; może ono być wdziane na ręce, ale służy zarazem do ukrycia twarzy i figury.

Na nogi wdziewają mężczyzni przedewszystkiem płócienne cholewki, następnie krótkie, barchanowe skarpetki (posień) i chodaki plecione ze szpagatu (szek-hri, albo meki-ri), łyka lub słomy. Zamożni noszą ostro-dzioby, chińskie buty (szuj-e-ti) na grubej podeszwie. Kobiety z ludu chodzą boso lub noszą krótkie skarpetki i podobne chodaki. W lecie ulubionem obuwiem chłopów korejskich są słomiane podeszwy (ccho-czimi), podobne do japońskich, przymocowane do stopy sznurkami, wdzianymi na palce.

Teraźniejszy ubiór korejski wzorowany jest na chińskim z czasów dynastyi Min (1368—1644 r.; po korejsku — Miön), jaki był przedtem — niewiadomo. Niektóre plemiona odziewały się zapewne w skóry zwierzęce, czego ślady pozostały na północy i na niektórych wyspach. Korejczycy śpią w kurtce i spodniach, ale zrzucają zwierzchnie ubrania, których w zimie noszą po kilka par jedno na drugiem.

Zimą chałaty i spodnie są watowane. Na północy noszą futra. Kołdry (niburi) są w dość powszechnem użyciu; głowy wspierają we śnie na wałkach z drzewa lub plecionych z bambusu. Podścielają pod siebie

*) „The Korean Repository," 1898, str. 127. „Man-gon," czyli opaska na głowę, jest to rodzaj mycki okrągłej z dziurą pośrodku, przez którą wystaje obowiązkowy u dorosłych mężczyzn kok włosów. Takiej mycki nie zdejmują Korejczycy nawet w mieszkaniu. Wychodząc na ulicę, na taką myckę wkładają kapelusz, który przywiązują wstążkami pod brodę. Biedacy, których nie stać na „man-gon," podwiązują głowę chustą albo kładą poprostu wianek z trawy.

cieniuchne materace lub gruby papier poprostu. Korejczycy wcale nie używają klejnotów i metalowych upiększeń — rezultat rządowego zakazu z przed 400 lat.

Biały kolor ubrania zmusza ich do częstego prania. W tym celu prują większe sztuki i wybijają w wodzie bieżącej wałkami, poczem suszą i wyciągnąwszy mocno na deskach, obficie krochmalą. Najsztywniejsze perkale europejskie jeszcze są dla Korejczyków za wiotkie i za mało błyszczące.

W szyciu ubrań pomagają sobie Korejczycy pewnego rodzaju klejem, który łączy brzegi tkanin równie mocno, jak nitka.

W czasie deszczu używają płaszczów ze słomy, powszechnie znanych na całym Wschodzie, lub z naoliwionego, wybornego papieru, mocnego jak cerata, a o wiele milszego w noszeniu, miękkiego i lekkiego. Papier ten wyrabiają z łyka drzewa papierowego (brussonetia papyrifera) oraz z kory morwowej.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Parę uwag w drażliwej sprawie.

Miasto po zachodzie słońca układa się do snu. Kominy gasną, fabryki milkną, wszelkie prawie zarabianie ustaje. Ludzie poczynają oddychać lżej, świąteczniej. Jeden dzień, twardy, znojny dzień — przeżyty, przerwana praca obowiązkowa, to znaczy niewypływająca z wewnętrznej potrzeby wyładowania energii w tym lub innym kierunku, lecz będąca żelazną koniecznością, łańcuchem przykuwającym do pewnego punktu, kędy przypadkowy kaprys losu dozwala zarobić tyle i tyle pieniędzy na „utrzymanie," zapewnienie sobie wykonywania pewnych, krzepiących i utrzymujących przy życiu funkcyj prawie wyłącznie czysto fizyologicznych jak: przyjmowanie pokarmu zabezpieczenie ciała od wpływu atmosfery itd.

I dlatego każdy „obowiązkowo" pracujący człowiek odczuwa ulgę, gdy upłynęła pewna doba jego trudu.

W tej chwili odpoczynku, kiedy po ulicach zdają się ludzie chodzić wolniej, nie śpiesząc się, nie pędząc, pewna kategorya kobiet wylega na miasto. W Paryżu rodzaj fali nadpływa z przedmieść na bulwary. U nas w Warszawie, roszczącej pretensye do wielkomiejskości, do wysokiej kultury, z ulic przylegających do głównych arteryj (Marszałkowskiej, Nowego-Światu itd.) wychodzą szeregi kobiet — na zarobek, uciążliwy, małopopłatny. Ściśle jest on związany z ową świątecznością chwili wieczornej: kiedy umysł wolny od maszynowości porusza się żwawiej, wtedy najbardziej poszukiwane są rozkosze, a rozkosz to rzecz cudna, piękna, upajająca.

Dla zmęczonych, zahukanych ciężkim dniem, ona jest chwilą upojenia. Chwila ta daje najwyższe napięcie energii życiowej, otwiera nieznane kraje, prowadzi na szczyty, kąpie w oceanie słońc, wiedzie w nieskończoność.

My, ludzie życiowo uświadomieni, synowie ziemi, sięgający po berło bogów, my znamy wagę życia i wielbimy rozkosz.

Rozkosz poczucia piękna, siły, wzroku, obejmującego widnokręki bezbrzeżne; rozkosz upajania się przyszłością, szałem, namiętnem oddaniem się jednej, świętej sprawie, tę pozostawiamy — waryatom i młokosom.

Myśmy już dojrzali, my wiemy, że dla tych, którzy posiedli doświadczenie życiowe, istnieje inna jeszcze rozkosz, — na zimno w oznaczonym czasie. A mieć ją można za drobną sumę — paru rubli — w domu publicznym, lub prosto z ulicy.

Przechodząc nieco później ulicami miasta natykamy się często na grupę, złożoną z pana o poważnej minie i paru dziewczyn o twarzach niemiłego wyrazu istot niedorozwiniętych, uśmiechających się bezzębnemi wargami. Jest to zwyczajna chwila zawierania umowy. Za tyle i tyle, to i to. Chcesz — dobrze, nie — znajdę inną. Nikt tu nikogo do niczego nie przymusza. Dobrowolna umowa.

Za dnia — moralni, surowi nazywamy to prostytucyą i narzekamy na zepsucie obyczajów.

Prostytucya należy do kwestyj wiele już razy opisywanych i rozpatrywanych; gdy się chce raz jeszcze na ten temat parę uwag wypowiedzieć, to niepodobna uniknąć zarzutu powtarzania i narażenia się na niechęć czytających. Nie mam bynajmniej zamiaru rozpoczynać *ab ovo*. Pragnę tylko zwrócić uwagę na stosunek obłudy społecznej do prostytucyi.

Niedawne wypadki odebrania sobie życia z powodu kobiet publicznych zwróciły na nie uwagę szanujących się ojców kraju. Należałoby dla równowagi podkreślać i uwypuklać w dziennikach samobójstwa różnych szwaczek, praczek, służących itd. z nieznanych powodów. Te dwie kategorye samobójstw uzupełniają się wzajemnie i mówią jedną wielką prawdę. Tylko myśmy zbyt porośli w codzienność i szablon, aby odczuć i zrozumieć wielkie prawdy, płynące z bolesnych zdarzeń.

Przedewszystkiem co pojmujemy pod słowem prostytucya? Jeżeli pominiemy prawno-policyjne określenie, to łatwo zauważyć, że nasza „niezepsuta" tradycyjnie bogobojna opinia publiczna nie różniczkuje zbyt subtelnie i pod jedną kategoryę ladacznic itd. (vide słownik pobożnych dam i sędziwych panów, wyrosłych w cnocie i bojaźni) łączy wszelkie kobiety, znajdujące się w stosunku do jakiegoś mężczyzny, nieulegalizowanym przez pewne formy obrzędowe, przepisane prawem. A więc zarówno dziewczyna uliczna, jak kobieta wyrosła ponad inne, zarówno modna kokota, jak ta, która idzie za głębokim głosem uczucia; wszystkie one są potępione i oplute przez drżącą o zbawienie duszy opinię publiczną. Naturalnie mówię tu o oznakach zewnętrznych, pomijając tysiące stanów psychicznych, stojących po za każdą z tych kategoryj. O mężczyźnie nie może być i mowy. Opinia, gruntująca swoje wyroki na prawdzie i sprawiedliwości — o nich milczy; na to zgadzają się nawet kuryerki. Więc chyba musi to być jasnem dla wszystkich.

Przytem istnieją pewne kategorye zajęć, które pociągają za sobą podejrzenia co do tak zwanego moralnego prowadzenia się. Oczywiście, lękająca się ostrych wyrażeń opinia oburzyłaby się, gdyby usłyszała twierdzenie, że teatr np. uważa za rodzaj domu publicznego. Nie — tylko aktorki puszczają się, na scenie panuje inna moralność. I dzisiaj spora część naszej pseudointeligencyi nie może zrozumieć, że artyzm wykonawczy nic nie ma wspólnego z tak zwanem używaniem życia i że owo „puszczanie się" zależy od wielu innych, daleko więcej skomplikowanych przyczyn.

Jeżeli odrzucimy wszelkie gadaniny owej opinii, powstałej z jak największego spłaszczenia myśli mózgów przeciętnych, niemogących nic strawić bez wskazówek tradycyi, to staniemy wobec prostytucyi tak się przedstawiającej:

Na zasadzie treści tego pojęcia można mu dać mniej więcej następujące określenie: Prostytucyą jest sprzedawanie swego ciała za pewną sumę. Naturalnie szał miłości nie podlega tej definicyi. Wszelkie związki na niej oparte, są czyste i niepokalane, zgubne czasem, lecz tylko i wyłącznie dla samych zainteresowanych i to z przyczyn zewnętrznych. Z definicyi, powyżej podanej umyślnie też usunąłem przymiotnik: świadome, bo świadomość bardzo rzadko jest tu obecną.

Przytem w prostytucyi zauważyć możemy dwie grupy, dające się objąć tem pojęciem ogólnem. Do pierwszej należą kobiety publiczne, wszelkiego rodzaju kokoty, jednem słowem te, które sprzedają się dziennie, tygodniowo, na pewien określony termin w warunkach specyalnie przez formy cywilizacyi wytworzonych. Są to istoty nieszczęśliwe, w 9/10 wypadkach pozbawione rozwinięcia umysłowego, a czasami i fizycznego, bez żadnej opieki wyrosłe w mroku; każda z nich wchodzi na tę drogę jako uwiedziona, głodem znaglona. Są to ciała żyjące, bez jasnego poczucia człowieczeństwa (czytajcie Gorkiego), automaty trwożliwe, przywykłe do wszelkiego upodlenia, upokorzenia, na których czole nigdy nie płonęła gwiazda godności ludzkiej. Kobiety te to sieroty cywilizacyi, to opuszczone przy urodzeniu dzieci życia, przeznaczone na podściółkę dla spokojnego istnienia innych.

Druga kategorya — też liczna—kobiety upośledzone życiowo, istniejące w zupełnie innych warunkach, lecz tragedya ich życia bliźniaczo jest do tamtych podobna. Opinia publiczna nietylko nie widzi tego popobieństwa, lecz o ile położenie pierwszych uważa za upokarzające i hańbiące, o tyle egzystencyę drugiej kategoryi za szczytne ziszczenie posłannictwa kobiety. A hańba i ohyda jednako brukają obie.

Kobiety tej drugiej kategoryi to tak zwane dobrze wychowane panny „na wydaniu," wyrosłe w lepszych warunkach pod względem zaspokojenia potrzeb fizycznych, nieraz wychuchane i ochraniane przed wszelkiemi wionięciami wiatru z zewnątrz. Istoty to słabe wewnętrznie, nieznające życia, nieuzbrojone do niego, karmione formułkami, hodowane do jednego wyłącznie celu i nawet w tym kierunku hodowane fałszywie i nieodpowiednio. Umyślnie, systematycznie pozbawiają je wszelkiej samodzielności, krępują podług ustalonego wzoru i wydają za mąż, dla tak zwanej karyery. Młoda dziewczyna przechodzi w ramiona obcego, mało jej znanego mężczyzny, nie żywiąc dlań żadnego uczucia, prócz lęku i rezygnacyi owcy, wiedzionej do rzeźni. W znacznej większości wypadków z jej strony niema w tem żadnej winy, lecz okropny jej los jest niezwykle jaskrawo podobny do losu kobiet pierwszej kategoryi. Rzecz dzieje się tylko w mniej brutalnych okolicznościach. Lecz to faktu zmienia, jak nie zmienia go również wiara samej kobiety w niezbrukaną czystość i wyższość takiego stanowiska nad prostytutką uliczną.

Obłuda społeczna w tym wypadku jest szczerą. Tem opłakańsze i smutniejsze jest położenie. Brak świadomości co do istotnego stanu rzeczy świadczy, że długo jeszcze panować będzie uszanowanie dla pustej formy, uświęcającej wszystko i dla tradycyjnego upokorzenia kobiet, bo jedno i drugie uważane jest za niezbędne— tylko pierwsze jako zło konieczne, a drugie jako dobro konieczne. Kwestya to zbyt zawiła, aby ją w paru słowach wyczerpać. Dziś idzie mi tylko o zaznaczenie niekonsekwencyi naszych poglądów na najbardziej palące zagadnienia społeczne, o dostrzeganie w jednym fakcie pewnych cech, a ślepotę na inne, pomimo jaskrawego ich podobieństwa.

br.

LISTY GALICYJSKIE.

Stosunki bukowińskie — etnograficzne, wyznaniowe, partyjne. — Wybory do sejmu w Czerniowcach. — Stanowisko demokratów narodowych.

Nie popełnię chyba zbyt karygodnego przekroczenia, jeśli pod tytułem „Listy galicyjskie“ zajmę się dziś nie Galicyą, ale sąsiadującą z nią Bukowiną. Uprawnia mnie do tego chociażby fakt, że sprawy tej ostatniej zostały wciągnięte w zakres interesów galicyjskich i że pewne sfery polityczne w Galicyi usiłują przedstawić Bukowinę, jako teren polskiej „ekspansyi narodowej.“ Świeżo zakończone wybory do sejmu bukowińskiego dostarczają nam trochę materyału do charakterystyki panujących w Bukowinie stosunków.

Bukowina przedstawia miniaturę Austryi — prawdziwy kalejdoskop narodowości różnego pochodzenia i wyznania. Rdzenna ludność Bukowiny należy do dwóch odrębnych, etnograficznie i językowo dalekich od siebie szczepów — rusińskiego i rumuńskiego. Rusinów jest tam 285,000, Rumunów — 220,000. Te dwa szczepy stanowią podłoże etnograficzne kraju, na którem żyją i rozwijają się wyspy i wysepki napływowe. Mamy więc tu Niemców (55,000) i uważających się za Niemców Żydów (90,000), mamy 26,000 Polaków, 1,500 t. zw. Ormian, tj. ludzi pochodzenia i obrządku ormiańskiego, ale *de facto* Polaków lub Rusinów pod względem kulturalno-językowym. Mamy dalej 8,500 Węgrów, 5,600 Cyganów, 4,000 Wielkorusów (t. zw. sekciarze-Lipowanie). Nie brak wreszcie drobnych kolonij czeskich, słowackich, słoweńskich, serbskich, chorwackich, bułgarskich i włoskich. Pod względem wyznaniowym ludność Bukowiny rozpada się na następujące odłamy: 450,000 prawosławnych, 72,500 katolików, 22,000 unitów, 4,000 Lipowanów, 16,000 protestantów i 90,000 żydów.

Te stosunki sprzyjają jak najbardziej rozpanoszeniu się zapasów narodowościowych i narodowościowo-religijnych. To też widzimy tu przedewszystkiem antagonizm rumuńsko-rusiński, wyrażający się w walce, posiadającej cechy i narodowościowe i wyznaniowe. Hierarchię kościoła prawosławnego na Bukowinie oddawna opanowali Rumuni, którzy bynajmniej nie są skłonni do czynienia jakichkolwiek ustępstw prawosławnym Rusinom na polu kościelnem. W kościołach prawosławnych panuje *de jure* utrakwizm słowiańsko-rumuński, ale *de facto* przewaga jest po stronie Rumunów i bardzo często zdarza się, że do parafij czysto rusińskich nasyłani są duszpasterze, całkiem nierozumiejący języka ludu. Stąd ustawiczne waśnie i utarczki pomiędzy ludnością rusińską a księżmi rumuńskimi, kończące się nierzadko przechodzeniem parafij rusińskich na unię. Jeśli dodamy, że Rumuni odznaczają się bardzo wybitną siłą asymilacyjną, to zrozumiemy, że stosunki wzajemne Rumunów i Rusinów nie mogą być przyjazne.

Waśń, dzieląca dwie rdzenne narodowości kraju, wychodzi przedewszystkiem na korzyść Niemcom. Ci bowiem, aczkolwiek stanowią nieznaczną stosunkowo mniejszość wśród ludności, potrafili w ciągu wieku zdobyć przewagę cywilizacyjną nad resztą mieszkańców i utrwalić swój wpływ polityczny bardzo poważnie. Dość powiedzieć, że uniwersytet czerniowiecki jest uniwersytetem niemieckim i że cała wyższa administracya kraju znajduje się w rękach niemieckich. Żydzi, ulegając wpływom niemczyzny z powodów pokrewieństwa językowego i ze względów handlowych, stali się na Bukowinie prawdziwą ostoją niemieckości, pomimo że w ostatnich czasach antysemityzm bardzo się szerzy wśród Niemców bukowińskich. Jako reakcya przeciwko niemu powstał tu syonizm, czyniący szybkie postępy; ale Żydzi-syoniści, przeistaczając się w narodowców żydowskich, nie przestają jednocześnie być Niemcami pod względem kulturalno-językowym i pomagać do dalszej germanizacyi kraju.

Antysemityzm tych trzech czynników narodowościowych — Rusinów, Rumunów i Niemców (resp. Żydów) wytwarza grunt do odstępstwa ze względów karyerowiczowskich. Rusin, Polak lub Rumun na poczekaniu przekształca się na Niemca, jeśli to jest potrzebne dla zrobienia karyery, poczem znowu nierzadko powraca do dawnej narodowości. Są ludzie, którzy w ciągu życia kilkakrotnie zmieniali narodowość. Jeden z najwybitniejszych dzisiejszych polityków bukowińskich był już Polakiem i Rumunem, zanim przekształcił się ostatecznie na Rusina. Dziwne stosunki bukowińskie wytwarzają i typy o narodowości mieszanej, jak Polako-Rumunów, Rumuno-Rusinów, albo ludzi narodowości neutralnych. Przedstawicielem tych ostatnich jest burmistrz stolicy Bukowiny, baron Kochanowski.

Pod względem partyjnym na Bukowinie widzimy również ogromne urozmaicenie. Panująca politycznie ludność niemiecka (wraz z Żydami) stanowiła do niedawna obóz jednolity, co w znacznej mierze umożliwiało Niemcom przewagę nad Rusinami i Rumunami. Ogniskiem niemczyzny stał się „Deutsches Haus“ w Czerniowcach, zbudowany za pieniądze żydowskie w znacznej mierze. Obecnie jednak do tej instytucyi mogą należeć tylko Niemcy-chrześcianie. Stanowią oni „Verein den christlichen Deutschen in der Bukovina,“ trzęsący całym krajem. Niemcy-Żydzi, zrażając się coraz bardziej do przenikającego się antisemityzmem długoletnich swych sojuszników, powoli organizują się na własną rękę. Na czele ich stanął zdolny adwokat, dr. Straucher, syonista i jednocześnie postępowiec, podzielający w pewnej mierze zapatrywania demokracyi społecznej, która posiada w Czerniowcach małoznaczny ośrodek.

Obok konserwatystów rumuńskich, partyi bojarów, wytworzyło się w ostatnich czasach postępowo-demokratyczne stronnictwo rumuńskie, opierające się na ludzie. Wśród Rusinów istnieją, tak samo jak w Galicyi, dwie frakcye — Starorusinów i Młodorusinów (narodowców). Ci ostatni posiadają pewne zacięcie radykalne.

Polaków reprezentuje na Bukowinie (jeśli pominiemy mieszczaństwo i proletaryat polski w Czerniowcach) głównie wielka własność ziemska. Istnieją wprawdzie polskie kolonie chłopskie, ale te nie posiadają większego znaczenia. W życiu politycznem Bukowiny Polacy mogą odgrywać i odgrywają faktycznie pewną rolę, jedynie jako przedstawiciele wielkiej własności ziemskiej. Stąd stały ich sojusz z resztą obszarników bukowińskich, z Rumunami.

Tymczasem stosunki w ostatnich czasach ułożyły się w ten sposób że wytworzyły się tu, właściwie mówiąc, dwa obozy. W jednym zogniskowały się żywioły demokratyczno radykalne, w drugim — społeczno-reakcyjne. W pierwszym znaleźli się postępowcy niemieccy, narodowcy rusińscy i demokraci rumuńscy, w drugim — obszarnicy polsko- i rusińsko-rumuńscy. Niemcy z „Vereinu“ usiłują zachować neutralność, ale jako żywioł mieszczański, bliżsi są naturalnie pierwszemu obozowi, aniżeli drugiemu. Ze stanowiska postępowego, uwzględniającego interesy kraju, jako całości, należy bezwarunkowo życzyć zwycięztwa pierwszemu obozowi, gdyż oznaczałoby to wejście kraju na drogę reform demokratycznych z jednej strony, a z drugiej spotęgowanie wpływów politycznych mas ludowych. Wychodząc z tego stanowiska, można uważać wynik ostatnich wyborów sejmowych za dodatni.

Przedstawia on się w następujący sposób. We wszystkich okręgach, tak rumuńskich, jak i rusińskich, mniejszej własności (z wyjątkiem jednego), zwyciężyli wolnomyślni. W Gurahumowie przepadł marszałek krajowy Lupul, zwyciężony przez włościanina rumuńskiego. W Sadogórze obszarnika rumuńskiego, Mikołaja Flondora, pobił radykalny narodowiec rusiński, prof. Smal-Stocki. W Zastawnej radykalny narodowiec rusiński, Kalitowski, zwyciężył konserwatystę - starorusina, Hakmana; w miastach i izbach handlowych, jako też i w kuryi wielkiej własności konserwatyści również zostali nieco nadszarpnięci, choć już nie w tej mierze. Wszystko to tłomaczy się przedewszystkiem faktem, że rząd dopuścił do wolnych wyborów, nie wywierając nacisku na starostów w kierunku popierania tej, czy innej frakcyi.

Polacy zdobyli 4 mandaty — wszystkie z kuryi wielkiej własności ziemskiej. Zdawałoby się, że stanowisko ich w niczem się nie zmieniło, ale ponieważ konserwatyści weszli do sejmu osłabieni, przeto i interesy obszarników polskich muszą być w nim na przyszłość w mniejszym stopniu uwzględniane.

Narodowo-demokratyczne *Słowo Polskie* załamuje ręce z powodu takiego wyniku rzeczy. Pisze ono (nr. 365): „Nie myślimy z naszego stanowiska robić rządowi zarzutu, że przeprowadził t. zw. „wolne wybory,“ tj. iż nie użył swej powagi i przewagi, tak jak to bywało dawniej, gdy rząd poprostu posłów mianował. Ale rząd protegował jawnie kandydatów „wolnomyślnych,“ nie przeszkadzał ich bezbożnej (*sic!*) agitacyi i znosił nawet, że się na przyzwolenie rządowe powoływano!“ Oto prawdziwe stanowisko demokratów! Utożsamiwszy interesy wielkiej własności ziemskiej z interesami polskości, panowie ci smucą się z powodu wejścia najbardziej zacofanej prowincyi Austryi na drogę jako tako postępową i gotowi czynić rządowi austryackiemu wyrzuty, że nie zmusił chłopów bukowińskich na sposób „galicyjski“ do wybierania plantatorów.

Daleki.

Elegiści arystokracyi.

Panowie już nie zadawalają się gorszącą sławą bohaterów w procesach kryminalnych, lecz występują jako faktorzy komisyi kolonizacyjnej w Niemczech. I na tym ostatnim szczeblu niemoralności, pod którym leży tylko błoto „ciężkich robót,“ są oni opłakiwani przez nasz bezmyślny sentymentalizm, który dotąd nie wyleczył się ani ze swego służalstwa, ani ze swej adoracyi dla magnatów. Dla otarcia tych łez podajemy elegistom dwie kartki papieru: jedną nadesłaną nam przez Go—ona, a drugą wyciętą z *Głosu*:

„Tym poczciwcom, którzy chcieliby zachować wszystkie stany społeczne, tylko je uszlachetnić, sprawiają one coraz częstszą przykrość. Bo ustawicznie tracą swoje szczególne cnoty a nabywają szczególnych łajdactw, tak dalece, że nieraz nowoczesny Noe, przypatrując się rozmaitym gatunkom swej arki, które pragnie ocalić od potopu, pyta siebie: Azali arystokraci są na świecie potrzebni? Ach — odpowiada — byliby oni bardzo użyteczni, gdyby... To znaczy: gdyby nie byli arystokratami.

Właściwie mówiąc, do tych poczciwców należy u nas $^{9}/_{10}$ obywateli myślących. Reformują oni ludzkość ciągle, ale tylko wna-

skórku. Do wnętrza nie sięgają, bo są przekonani, że ona wtedy, zamiast pleść głupstwa, zaczęłaby ryczeć, co jest stanowczo gorszem!

Wiadomo z telegramów, obszernych wywiadów i korespondencyj, że hrabia watykański Milewski (namiestnik Chrystusa fabrykuje takowych) na dworcu kolejowym w Wiedniu postrzelił narzeczonego swej byłej kochanki (a jak ona utrzymuje — jednocześnie córki). Ten wypadek — wcale nie gorszy od obładowania 500,000 rubli polskiego osła, który niedawno przelazł przez mur cnoty pewnego aniołka francuskiego, zepchnąwszy zeń „wysoko postawioną osobę“ — głęboko zmartwił wszystkich naszych Sawonarolów, wierzących, że „gdyby arystokracya polska itd.“ Przypomniawszy sobie wiele innych jej znakomitych czynów najświeższej daty, wołają oni: Tego już zanadto! O niemowlęta, które ssąc pierś i patrząc na jedzącego mleko z całej dzieży, krzyczą: Za dużo! Tak, dzieża mleka za dużo — dla niemowląt, a pół miliona rubli dla prostoduchów i podbiedków, którzy nie mają zabezpieczonych wszystkich obiadów i wszystkich spodni. Co innego dla pana! Zresztą...

O tej reszcie głównie chcę dziś pomówić.

Jeżeli jakiś wynaturzony fizycznie i oparszywiały moralnie syn wiejskiego lub miejskiego nędzarza zostanie mordercą lub złodziejem, natychmiast urzędowi i nieurzędowi obrońcy wyśpiewują czułą elegię i domagają się przebaczenia, a przynajmniej miłosierdzia dla nieszczęśliwej ofiary dziedziczności i ciemnoty. Dziecko pijaka, istota przez nikogo niewychowywana, tylko cudem może uniknąć występku. Zgoda! Ale po co dwie miary, dlaczego tych samych okoliczności łagodzących nie stosujemy do arystokratów? Dlaczego zapominamy o tem, jaki oni biorą spadek po przodkach? Ilu jest takich, których krew nie jest zatruta odziedziczonym lub nabytym syfilisem, artretyzmem, alkoholem. Przecież to są w rozpuście zgnili synowie zgniłych ojców. Czy oni mogą mieć zdrowe pożądania? A kto ich wychowuje? Bony i guwernantki, które dziesięcioletnich chłopców uczą naprzód anatomii, a następnie fizyologii, lokaje, furmani, kokoty i starsi bracia lub towarzysze, którzy wcześniej plusnęli w błoto. Jeden na stu nie kończy szkoły średniej, jeden na tysiąc — wyższej. Nie umieją ortograficznie pisać, nie nabywają elementarnych wiadomości żadnej nauki, nie znają podstaw organizacyi społecznej, są ciemniejsi od Wojtków, którzy kradnąc konie, rozbrajają naszą surowość swem nierozwinięciem umysłowem. Można w nich wmówić, że cynamon został odkryty przez Cymona, że Petrarka był Polakiem i nazywał się Maciej Skałek, że trade-uniony są to łodzie angielskie, używane do łowienia flonder, że Krzysztof Opaliński był pierwszym burmistrzem Krakowa itd. Oni na pewno wiedzą tylko, jakie są najlepsze restauracye, najwybredniejsze kluby, najdrożsi krawcy i najrozkoszniejsze kobiety do najęcia. Po za tem mają inteligencyę analfabetów.

Czego od takich zwyrodniałych, chorych i ograniczonych ludzi można wymagać? Czy wypada bez niesprawiedliwości potępiać ich za to, że nosząc w sobie zarazę, rozszerzają ją naokoło, że tracą pół miliona rubli dla zdobycia jednej ladacznicy lub przegrywają setki tysięcy w ciągu jednego wieczora? Należy się raczej dziwić, że nie są stałymi pensyonarzami jakiegoś ogromnego więzienia.“ *Go—on.*

W tonie artykułów naszej prasy o procesie w Pile niepodobna było nie zauważyć, jak intensywnie nasi piorunujący moraliści pieszczą się i upajają przeświadczeniem: „ja strofuję hrabiego,“ książęca hańba spada na mnie. Gdy jakiś polski karmazyn zostanie gdzieś spoliczkowany, najuboższy, najbardziej wyszarzany skryba dziennikarski rości sobie prawo do cząstki tych policzków i uczułby się obrażonym w swem obywatelskiem, demokratycznem poczuciu, gdyby mu tych praw odmówiono. Polska prasa, traktująca skandale Bnińskich, Mielżyńskich, Ponińskich, Milewskich, jako sprawę narodową, usiłuje ściągnąć choć odrobinę tej śliny, jaką oplwali samych siebie w oczach „wszecheuropejskiej reporteryi“ nasi błękitnokrwiści — na użytek mniej szlachetnie urodzonych twarzy. „Gdy mego hrabiego biją, ja także twarzy nadstawiam,“ lub „arystokracya nie ma prawa hańby swej zachowywać dla siebie, my także chcemy mieć w niej udział“ — oto formułki usposobienia naszej prasy i naszej „obywatelskiej“ publiczności w danym wypadku.

* * *

Słowem?

— Słowem, głęboką i zupełną słuszność ma fejletonista *Wędrowca*, p. Toporski, gdy powiada, że hańbą i wyrzutem dla społeczeństwa może być każdy proces ciemnych i nieznanych Bartków i Maćków, lecz rzeczą najzupełniej obojętną lub mającą co najwyżej znaczenie ciekawego widowiska, są najbardziej nawet skandaliczne procesy naszych, choćby nawet najstarożytniejszych rodów.

Stąd, że pra-pra-dziadowie walczyli pod Kircholmem, Cecorą, Chocimem, a pra-prawnuki oszukują w karty po swojskich i nieswojskich „Dąbkach,“ wynika to tylko, że „umarli szybko jadą,“ a także ujawnia się kierunek tej jazdy.

Vogue la galere... Panowie.

* * *

Przestępstwo jednostki jest wtedy tylko hańbą i wyrzutem dla społeczeństwa, gdy jednostka ta może być uznana za jego typowy wytwór. Społeczeństwo nasze z pochylonem czołem odczytywać powinno statystykę nożownictwa, prostytucyi, drobnych i niegłośnych, a pomimo to miażdżących istnienie ludzkie, przestępstw szarej masy. Wobec procesów Bnińskich, Ponińskich, Kwileckich, społeczeństwo rumienić się nie potrzebuje. Co ci panowie mają wspólnego z nami? Przechodzą pomiędzy nami z miną ironicznych, wzgardliwie pobłażliwych półbogów, z ironicznie pobłażliwą obojętnością traktują naszą pracę, naukę, sztukę, nasze ideały i tragedye. Nie jesteśmy dla nich niczem i my nie wiemy o nich nic, póki nie ujrzymy ich na ławie oskarżonych. My mielibyśmy za to odpowiadać? Nasz honor miałby być na szwank narażony przez ich brudy? To żarty! Nie wiemy nic o tych ludziach. Gdy pomiędzy nimi spostrzegamy czasem przebłysk uczuć, które my uważamy za ludzkie, dziwimy się. Ich życie jest całkowicie od nas niezależne: gdybyśmy co mogli o swojem życiu i jego stosunku do nich powiedzieć! Nazbyt często jeszcze odgrywają ci półbogowie względem nas rolę przechodnia, niweczącego dla kaprysu kosztem krwawych wysiłków wzniesione mrowiska. Stworzyli sobie oni nazewnątrz naszego życia własne życie, własne stosunki, własną atmosferę. Nie wychowywaliśmy tych ludzi, nie pracowaliśmy ani z nimi, ani nad nimi, myślimy innemi niż oni myślami, czujemy innemi uczuciami, nie poczuwamy się wobec nich ani za nich do żadnej odpowiedzialności. Gdy jakieś europejskie czy amerykańskie więzienie karne zamknie któregoś z tych ludzi w swem wnętrzu, możemy być tylko wdzięczni społeczeństwu, które wzięło na siebie koszty utrzymania takiego „dziedzica chwały,“ na jedynem stanowisku, jakie nasi panowie umieją sobie wywalczać pracą własną, w drodze zasług osobistych.

(Głos).

Dr. KAROL HERTZ

Dnia 4 b. m. zmarł w Marienbadzie, w 61 roku życia, dr. Karol Hertz, pedagog, matematyk i publicysta. Urodził się w Warszawie w 1843 r. Po skończeniu Szkoły Głównej objął w r. 1867 stanowisko nauczyciela w jednem z gimnazyów. Od owej chwili pracował nieprzerwanie na polu pedagogii. Czas wolny od zajęć zawodowych poświęcał pracy naukowej i publicystyce, biorąc czynny udział w życiu społecznem. Założył i redagował tygodnik *Przyroda i przemysł*, był też stałym współpracownikiem *Przeglądu tygodniowego*. Z licznych jego rozpraw naukowych niektóre wyszły oddzielnie, jak „Kosmografia,“ „Badania nad przestrzenią,“ „Kurs geometryi,“ „Teorya kwaternionów.“

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Reforma.

Jak zwykle, dzienniki warszawskie doniosły o zamierzonej zmianie przepisów prawnych w takiej formie, że tej zmiany odgadnąć niepodobna. Chodzi zaś o doręczanie telegramów. Czytamy:

„Naczelnikom zarządów pocztowo-telegraficznych polecono bądź wyszukać *przedsiebiorców*, którzy podjęliby się dostarczania telegramów (adresatom oddalonym) bądź też organizować tę obsługę sposobem gospodarczym“.

Trudno uwierzyć, ażeby tak ważna gałąź komunikacyi pozostawiona była uznaniu pojedynczych urzędników a nadewszystko spekulacyi „przedsiebiorców“.

Dalej:

„Według nowych przepisów, kto wysyła (chyba—wyśle) telegram i życzy sobie (chyba—będzie sobie życzył) dostarczenia go na miejsce przez umyślnego, wnosi (chyba—wniesie), opłatę dowolną (?), którą w razie potrzeby dopełni odbiorca. Gdy wypłacona z góry kwota jest (chyba—będzie) wyższą, niż potrzeba, to nadwyżka nie ulega (chyba nie ulegnie) zwrotowi, lecz idzie (chyba—pójdzie) na rzecz skarbu“.

I tu również trudno uwierzyć, ażeby skarb państwa stawał na stanowisku wydrwigrosza, który złapawszy od interesanta więcej pieniędzy, niż mu się należy, nie chciał ich oddać. Ow interesant płaci tyle, ile mu każą, a nie jego wina, że biorą więcej.

Wreszcie:

„Sztafety nieopłacone z góry, będą dostarczane przez umyślnego posłańca tylko tym odbiorcom, którzy złożą do miejscowego urzędu telegraficznego podanie o doręczenie im wszystkich telegramów, adresowanych na ich imię. W przeciwnym razie otrzymywać je będą *tylko przy sposobności*“.

Ponieważ miejscowy urząd pocztowo-telegraficzny obejmuje kilkanaście tysięcy osób, więc tyleż podań muszą one mu złożyć; kto zaś tego nie uczyni, nawet depeszę decydującą o jego losie lub życiu, może odebrać „tylko przy sposobności“!

Ślicznie! *d.*

Dziwy.

Doprawdy można poważnie zadać pytanie: czy regulatorzy stosunku dróg Nadwiślańskich do publiczności są dziwnie w swych pomysłach nieszczęśliwi, przekorni, czy też... obdarzeni bezwiednym humorem? Prawie każde ich rozporządzenie jest czemś tak oryginalnem, że ani doświadczeniem, ani zdrowym rozsądkiem przewidzieć się nie da. Wspominaliśmy niedawno o rozkładzie jazdy na linii Mławskiej, według którego mieszkańcy okolic Ciechanowa lub Nasielska, oddaleni od Warszawy o $1^1/_2$ do 2 godzin, dla przybycia do niej i powrotu potrzebują dwu nocy — tyle, ile do Berlina tam i nazad. W ostatnich znowu czasach z Otwocka pozwolono przyjeżdżać tylko pociągami miejscowymi, a kto chce korzystać z innych, musi wykupić bilet za Warszawę — do Pruszkowa! Gdyby wiadomość o tym dziwolągu przesłano do *Fliegende Blätter*, z pewnością redakcya odpowiedziałaby: przyjmujemy tylko karykatury i satyry, które posiadają bodaj drobne cechy prawdopodobieństwa. A to jest rzeczywistość! Kawałek tej rzeczywistości ma być — według pogłosek — naprawiony w rozkładzie zimowym! O to szczęście, że nie wtedy, kiedy koleje Nadwiślańskie wejdą w okres kultury europejskiej. *h.*

Brak taktu.

Dzienniki nasze nie mogą sobie dotychczas przyswoić cech prasy wielkoświatowej i pomimo szerokiego koła abonentów pozostają organami zaściankowymi. Ciągle uprawiają przyjacielsko-krewniaczy fawo-rytyzm, ciągle wzajemnie się okradają z nowin i pomysłów, ciągle unikają przytaczania zdań cudzych, ciągle prowadzą kontrabandę tajemną z zagranicy, ciągle przenoszą szybkie pochwycenie w lot plotki nad powolne wykrycie prawdy, ciągle w swych sprawozdaniach nie są ani przedmiotowe, ani ścisłe, ciągle nie mają żadnych ustalonych przekonań i usiłują prześlizgiwać się między krańcami, ciągle wreszcie okazują zupełny brak taktu. Do takiego stopnia nad ich wolą i słowem panuje chęć osiągnięcia efektów reporterskich, że dla dogodzenia jej gotowe są obrazić najświętsze uczucia i zasady, których po za „sensacyą" zapamiętale bronią. Sensacyi tej, w której tkwi rachuba handlowa, nie poświęcą dla niczego, a właściwie gdy o nią chodzi, wszystko w ich oczach gaśnie i blednie. To nie są organy jakichś grup ludzkich, lecz organy sklepów z zadrukowanym papierem. *d.*

Przed złotym cielcem.

Pisma warszawskie, pracujące nad zdemokratyzowaniem pojęć społeczeństwa, ze szczególną skwapliwością opowiadają mu o — milionerech. Vanderbildty, Morgany i Gouldy ani się domyślają, ile razy ich życiorysy były powtarzane w prasie naszej, ile razy obliczono ich majątki, opisano ich pałace, sposób życia, wybryki itd. Najemna czerń dziennikarska za granicą, wysławiająca ciągle tych bohaterów uprawnionego rozboju, wie przynajmniej, dlaczego to robi — otrzymuje za to pieniądze. Ale nasi czciciele złotego cielca odprawiają swoje około niego pląsy jedynie z bezinteresownej przyjemności — dla demokratyzowania ogółu. W tym celu nawet przetłomaczono na język polski i powtórzono w gazetach podręcznik jednego z amerykańskich rekinów przemysłu o sposobach robienia majątku. Niestety, jest to tylko nauka lizania słodyczy przez szybę. Obecnie nasze „demokratyzujące" organy znalazły sobie nowe bożyszcze w osobie jakiegoś bębna, który odziedziczył po ojcu 100 milionów, ale ponieważ liczy dopiero cztery lata, więc najbardziej korzysta ze „wspaniałej krowy, która się pasie na osobnej łące i pije sterylizowaną wodę." Temu przesyconemu ssakowi pisma nasze poświęciły więcej uwagi, niż umierającym z głodu biedakom. *g.*

Nowy sport.

Przybył nam nowy „sport szlachetny" (wszystkie sporty są szlachetne, nie wyłączając myśliwstwa): oto letni mieszkańcy Wawra, Otwocka i Jabłonny siadają do wagonów bez biletów, a zanim konduktorzy ściągną od nich należność, figlarze wyskakują i nikną na następnej stacyi. W ten sposób odbywa się „składanie wizyt" znajomym. Sport rzeczywiście pomysłowy, tani i niezbyt grzeszny, gdyż wyzyskuje takiego, „który ma dosyć." Cieszylibyśmy się więc z wynalazczości naszych współziemian, gdybyśmy w niej nie widzieli przejawu tych geniuszów, którzy z cudzemi kasami uciekają za ocean, a pozostając w kraju, często „regulują" swoje zobowiązania. Jesteśmy najmocniej przekonani, że „jazda na gapę" nie będzie pierwszem i ostatniem ogniwem w łańcuchu „dowcipnych kawałów," lecz dla niejednego stanie się owem przysłowiowem łyczkiem, od którego idzie się do rzemyczka. Sędziowie tego nadużycia w prasie mylą się w ocenie właściwego zła: nie tkwi ono w okradaniu kolei na kilkanaście lub kilkadziesiąt rubli, ale w uczuciach moralnych, które są do takich czynów zdolne i na pobłażliwość a nawet współudział otoczenia liczyć mogą. *h.*

Memoryał w sprawie braku pracy.

Wszelkie przedsięwzięcia ratunkowe mają wartość nietylko wtedy, kiedy są dobrze pomyślane, ale też prędko wykonane. Najskuteczniejsze lekarstwo nie pomoże choremu, który umarł. Otóż w sprawie pomocy dla pozbawionych pracy już za dużo napisano i nagadano, teraz należałoby czynić, a wszystkie znaki zapowiadają, że te czyny nie prędko się zjawią. Świeże tego dowody mamy właśnie przed sobą. Pisma codzienne ogłosiły memoryał złożony władzom wyższym przez zarząd warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania rosyjskiego przemysłu i handlu.

Memoryał ten zawiera pewne dane liczbowe, co do ilości ludzi bez pracy. Niestety, są one tak nieścisłe i chaotyczne, że niewiele z nich dowiedzieć się można o istotnym stanie rzeczy. Dziwnem jest przedewszystkiem, że z 57 cechów warszawskich tylko 38 nadesłało odpowiedzi. Czyżby panowie starsi zgromadzenia nie rozumieli ważności położenia. Prócz tego, dlaczego nie dostarczono danych według jednego wzoru? Czytamy np. na samym początku: u kotlarzy z ogólnej liczby 249 jest bez roboty 100 czeladników. Przecież można było dodać: wiele jest zakładów, prowadzących roboty i jaki procent pracujących oddalono. Gdzieindziej objaśnienie jeszcze skąpsze: zastój niewielki, pewien procent etc.; słowa te bez podania ogólnej cyfry pracujących, prawie nic nie mówią. Dowiadujemy się tylko, że kryzys najbardziej dotknął kotlarzy, pozłotników, krzeslarzy, nożowników, garbarzy, krawców, bronzowników, szewców, stolarzy; niektóre znów fachy jak ślusarze, introligatorzy, kowale, mularze itp. dotąd stagnacyi nie odczuli. Lecz wszelkie te twierdzenia musimy przyjmować na wiarę wobec braku cyfr, co wartość memoryału sprowadza do *minimum*.

Daleko gorzej przedstawia się położenie wśród rzemieślników niececho wych. U stolarzy np. na 300 pozbawionych pracy czeladników cechowych jest 3,000 niececho-wych. I tu dane są nieścisłe, tylko przypuszczalne.

Jeszcze słabiej przedstawiają się wiadomości zebrane o robotnikach fabrycznych. Inspektor okręgowy podaje w samej Warszawie liczbę robotników, uwolnionych od pracy, na 2,500. Czy fabryki odmówiły dostarczenia danych, któreby choć trochę pozwoliły rozejrzeć się w położeniu? To, czego nam dostarczono, potwierdza tylko grozę powszechnego stanu rzeczy.

Nie lepiej na prowincyi. Wszędzie w zakładach przemysłowych ograniczają zajęcie, jeżeli nie zawieszają zupełnie. Weźmy za przykład gub. Piotrkowską: 210 zakładów przemysłowych, zatrudniających do 60,000 robotników zmniejszyło czas roboczy o 20% do 50%. Podobnie się dzieje w innych guberniach.

„Widoki najbliższej przyszłości bynajmniej polepszenia nie obiecują."

Drugą połowę memoryału zajmuje projekt akcyi ratunkowej. Są to sprawy, o których już oddawna rozprawia się napróżno.

Co do kosztów to memoryał twierdzi, że „koszta tych robót bez przeważnego udziału skarbu pokryć się nie dadzą."

Kasy gminne.

Charakterystyczne dane co do kas gminnych podają pisma codzienne: Według sprawozdań gubernatorów istnieje w Królestwie Polskim 1,319 kas gminnych, pożyczkowo-oszczędnościowych w 1281 gminie (wszystkich jest 1285). Kapitał obrotowy tych kas wynosi 23,000,000 rb. W tym jest 1,500,000 rb. wkładów, a reszta stanowi własny kapitał kas.

Dane te wskazują, że na własnych funduszach gmin można oprzeć samopomoc włościan wobec klęsk żywiołowych, jak posucha, powódź, pożary. Podobno istnieje projekt, mający na celu udostępnienie uczestnikom kredytu na spłacenie działów familijnych i nabywanie narzędzi. Takie udostępnienie pożyczek i zapomóg wobec dzisiejszego, ciężkiego położenia byłoby bardzo na czasie i mogłoby przynieść istotnie korzyść dotkniętym klęską. *r.*

Skrócenie godzin pracy.

W numerze wtorkowym *Gońca* czytamy list otwarty pracownika składu materyałów aptecznych w sprawie niezmiernej długości godzin pracy w tych sklepach. Pracownicy zajęci są od 8-ej rano do 11 wieczorem z jednogodzinną przerwą na obiad, co wynosi 14 godzin na dobę. Przez ten czas naturalnie należy być uprzejmym, uśmiechniętym itd. Czy można się łudzić, że właściciele tych sklepów zgodzą się na wcześniejsze ich zamykanie. Konkurencya nie pozwoli, a po za tem czy pracodawcę naprawdę obchodzi, że jego pracownik jest znużony? Znajdzie on zawsze drugiego, który się nie będzie użalał. *i.*

Roboty miejskie.

Obiecują nam oddawna, że roboty ziemne nad Wisłą mają się rozpocząć. Dotąd obietnice się nie spełniły, a zdaje się że nadzieje, jakie w nich pokładała prasa warszawska w każdym razie ziszczą się w małej części. Liczba potrzebnych robotników wyniesie około 600; cyfra w porównaniu z podażą rąk roboczych niewielka, a praca ciężka, żmudna i dla niektórych wprost niemożebna. Przedsiebiorca podaje płacę dzienną na 60—150 kop. za pracę od 6 rano do 6 wieczorem. W głosach pism codziennych nie ma wzmianki, czy norma zarobku jest ustanowiona przez Zarząd miasta. W przeciwnym razie wobec tak licznej konkurencyi potrzebujących zajęcia może być zmniejszona, nawet znacznie. Na to należy przedewszystkiem zwrócić uwagę.

Następnie roboty te będą trwać tylko przez 3 miesiące; na najcięższy, zimowy okres czasu 600 ludzi pozostanie bez pracy.

BADANIA NAUKOWE.

Nitrofikacya.

Państwa, dbające o zdrowie swych mieszkańców nieustannie przemyśliwają nad sposobami usunięcia przykrych zapachów wody ściekowej i gnieżdżących się w niej zarazków wszelkich chorób, nawiedzających zwykle najuboższe, a więc źle skanalizowane dzielnice.

Niedość jednak uczynić tę wodę nieszkodliwą — trzeba jeszcze by stała się użyteczną.

Wiadomo, że w wodach, pochodzących ze ścieków znajdują się głównie połączenia azotu z wodorem mianowicie: amoniak i jego związki pochodne, które jak nas uczy fizyologia, zupełnie są nieprzydatne dla roślin wyższego typu; zielone bowiem rośliny mogą wchłaniać jedynie połączenia azotu z tlenem w postaci saletry i jej związków pochodnych. Chodzi więc o to, by wodę ściekową uczynić bezwonną, bezbarwną i nasyconą korzystnymi dla gruntu rozczynami saletry; inaczej mówiąc zamienić materye organiczne, znajdujące się w tej wodzie na ciała mineralne, tj. rozłożyć na pierwiastki.

Oddawna przedsiebrano cały szereg prób w tym kierunku, lecz niestety mało przyniosły one korzyści i dopiero w ostatnich czasach biologia przyszła technice z pomocą. Doświadczenia Szlezinga i Münca, a nadewszystko Murrasa, pokazały, że w wodach ściekowych znajdują się dwa rodzaje drobnoustrojów, z których jedne zamieniają amoniak na kwas azotowy (nie tak bogaty w tlen), inne znowu doprowadzają ten proces do końca tj. rozkładają ciała na pierwiastki: to się zwie nitrofikacyą. Dawniej działanie owo przypisywano roślinom wyższego typu, rosnącym na gruntach, polewanych wodą ściekową, lecz obecnie jesteśmy już pewni, że te rośliny nietylko nie wywcłują procesu nitrofikacyjnego, lecz go nawet powstrzymują może. Próby czynione na stacyi doświadczalnej w Luransie w Stanach Zjednoczonych wykazały, że na najlepszych polach, zasianych zbożem, nitrofikacya jest o dziesięć razy mniejszą, niż na gruncie specyalnie przygotowanym dla silnego rozwoju mikroorganizmów.

Calmett, dyrektor instytutu Pasteura, dzieli ciała znajdujące się w wodach ściekowych na dwie grupy, które trzeba rozłożyć na pierwiastki.

Pierwsza — to tak zwane potrójne połączenia (tlen, wodor i węgiel) do nich należą: plazma, cukier i krochmal, spotykane w postaci resztek owoców, papieru, szmat i t. p.

Druga grupa — to ciała azotowe: resztki mięsa, białka i wszelkie wypróżnienia. Ciała pierwszej kategoryi zamieniają się na połączenia mineralne dzięki żywotnej pracy bakcylów *anaerobowych* tj. takich, które mogą żyć i rozwijać się bez tlenu, a nawet niektóre z nich tlen zabija. Ciała drugiej kategoryi najpierw muszą być rozcieńczone, a następnie rozkładają się na połączenia amoniakowe, które, jak mówiliśmy, przechodzą w saletrę dzięki *aerobom*—drobnoustrojom, których życie wymaga przeciwnie dużej ilości tlenu.

Lecz na to, żeby owe wszystkie procesy odbywały się normalnie, trzeba wodę ściekową postawić w takich warunkach, aby te dwie armie malutkich robotników mogły wygodnie żyć, gdyż wtedy dopiero ich praca, podobnie jak ludzka, stanie się najproduktywniejszą.

I oto myśl, wylęgła w gabinetach uczonych, znajduje obecnie coraz szersze zastosowanie w życiu praktycznym.

Najpierw z warstwy koksu, pokrytej szabrem, pobudowano zbiorniki, mieszczące bakcyle, lecz jeden taki zbiornik szybko się zanieczyszczał. Bakcyle *aerobne* nie miały dość powietrza, więc trzeba było dawać im wypoczynek, aby ci mali robotnicy mogli nabrać sił do dalszej pracy. Przerwy w napełnianiu zbiornika okazały się bardzo niewygodnemi tam, gdzie jest dużo ścieków, przeto Cameron zaproponował wpuszczanie wody najpierw do septycznych tj. zarażonych zbiorników z piaskiem i zaopatrzonych w siatki, zatrzymujące kamienie, odłamki metali itp. ciała często znajdujące się w ściekach; z tej kamery wylewa się ścieki do owych, wyżej wspomnianych zbiorników, gdzie działają anaeroby. Zbiera się tam pokaźna ilość ciał, z których te żyjątka tworzą rozczyny. Praca ich nie wymaga wiele czasu. zaledwie 24 godzin w przybliżeniu i dla tego ze względów sanitarnych nie jest niebezpieczną. Ażeby utrzymać wyższą temperaturę w tych zbiorowiskach, niezbędną dla pełnego rozwoju anaerobów i zapobiedz przypływowi powietrza dla nich szkodliwego, rozerwoar pozostaje zamknięty, a wydzielające się z niego gazy mogą służyć do opału lub oświetlenia. Jeśli nie chcemy korzystać z gazu, można nie przykrywać zbiornika, gdyż na powierzchni zawartego w nim płynu tworzy się błona, podobna do tej, jaką ma fermentujące wino, i ona chroni bakterye od dostępu powietrza, wtedy gdy na dnie powstaje osad. Podczas rozkładu potrójnych połączeń zbierają się i pękają na powierzchni błony rozmaitej wielkości pęcherze gazowe, nie wydzielające tak przykrego zapachu, jakby się mogło zdawać: jest on podobny do gazu świetlnego. Woda, po 24 godzinnym pobycie w tym zbiorniku, staje się czarną i nasyconą rozczynami ciał organicznych; stamtąd przechodzi ona do basenów otwartych o ścianach z mielonej gliny na 1 metr wysokich z dnem wyłożonem glinianemi rurami. Końce tych rur nie łączą się między sobą, lecz wszystkie ich otwory skierowane są do jednego zbiornika, gdzie oddają wodę, wpływającą do nich przez siatki, umieszczone po stronie przeciwnej. Baseny wyściela się żużlem, który im wznosi się wyżej tem jest drobniejszy, a rynienki, rozchodzące się na podobieństwo wachlarza, rozprowadzają wodę równomiernie po całej powierzchni cienkiemi stosunkowo warstwami. Dzięki takiemu urządzeniu basen napełnia się w przeciągu godziny; dwie godziny trwa proces nitrofikacyi, a następnie po upływie godziny basen się wypróżnia. Tak uczy teorya, lecz w praktyce proces ten trwa trochę dłużej. Potem tym małym robotnikom daje się czterogodzinny wypoczynek. Praca będzie nieprzerwaną, jeśli kolejno to jednemu to drugiemu zbiornikowi będziemy dawać wypoczynek.

Rozumie się samo przez się, że w wielkich zakładach mogą być czynne całe szeregi tych elementarnych aparatów, lecz ogólne urządzenie, a głównie zasada pozostaje bez zmiany.

Ciekawym jest fakt, że baseny zaczynają działać prawidłowo dopiero po paru miesiącach, gdy ich mali mieszkańcy dobrze się już zaaklimatyzują. Zwrócić jeszcze musimy na to uwagę, że woda ściekowa, po przejściu przez te baseny oczyszczające, posiada już zaledwie 5 do 10% pierwotnej ilości drobnoustrojów, jest przeto zupełnie pozbawioną własności chorobotwórczych, i można ją spuszczać do rzek lub używać do celów przemysłowych.

Jak widzimy ten system nie wymaga wielkich nakładów, daje świetny rezultaty i dzięki temu rozpowszechnia się w Anglii, Ameryce i u naszych sąsiadów, Niemców. Może i my zachcemy sprobować go u siebie.

A. Roszkowski.

LITERATURA I SZTUKA.

Czterdzieści cztery.

Z matki obcej: krew jego — dawne bohatery:
A imię jego czterdzieści i cztery.

Iluż tu już komentatorów i historyków literatury łamało sobie głowę nad zagadką, zawartą w tych wierszach widzenia Księdza Piotra w III części „Dziadów"! Jedni wyobrażali sobie, że ten mąż, „namiestnik na ziemskim padole," „namiestnik wolności na ziemi widomy" — to książę Ludwik Napoleon (XLIV); inni — że Andrzej Towiański, a ci, co tak sądzili, mogli powoływać się na bardzo przejrzystą aluzyę, zrobioną przez samego Mickiewicza w ostatniej prelekcyi w Collège de France; wreszcie niektórzy mniemali, że poeta mógł tu mieć na myśli samego siebie, a znalazł się nawet jeden historyk-biurokrata, p. profesor Teodor Wierzbowski, który w oryginalny doprawdy sposób uzasadnił tę hypotezę: oto Mickiewicz miał na jakimś patencie, dyplomie, czy może nawet pasporcie, numer, w którego skład wchodziły dwie czwórki, i to podsunęło mu myśl nazwania samego siebie: czterdzieści cztery... Inni — jak Tarnowski — woleli z góry ogłosić zagadkę za absolutnie nierozwiązalną: rodzaj kwadratury koła historyi literatury polskiej.

Mniej więcej rok temu na szpaltach *Prawdy* ukazał się fejleton Andrzeja Niemojewskiego, będący streszczeniem ogłoszonej prawie jednocześnie broszury *), w którym autor wypowiedział nową w tym względzie hypotezę. Zważywszy, że w Widzeniu mamy wciąż i wyłącznie do czynienia z osobami zbiorowemi, z uosobieniami grup ludzkich, narodów (Gal, Borus, Rakus), Niemojewski wnosi, że i ów mąż straszny i imponujący, wskrzesiciel, co wyrósł z dziecka, które uszło, nie jest żadną osobistością określoną, nie jest człowiekiem pojedyńczym, lecz również jakąś osobą zbiorową, idealną. Ma to być mianowicie Litwa, którą Mickiewicz głośno uznawał za swą ojczyznę i wielokrotnie idealizował, a która w porównaniu z Polską mogła być uważana za dziecko, za młodszego brata, urodzonego z matki obcej, za namiestnika, w którym można było pokładać nadzieje. Wreszcie podał Niemojewski i obliczenie, zgadzające się z jego hypotezą: oto jeśli napisać wyraz „Litwa" literami alfabetu starosłowiańskiego, a litery te ponumerować, zaczynając od $a=1$ (co prawda, licząc tylko jedno *i*, zamiast dwóch istniejących w tym alfabecie), to suma będzie 44. Wprowadzenie alfabetu starosłowiańskiego usprawiedliwione jest pewnemi, ogólno-słowiańskiemi ideami i sympatyami Mickiewicza oraz tem, że ludzie, zajmujący się gematryą, czyli symboliką cyfr — a w owym czasie było to modą — lubią pewną tajemniczość, posługiwanie się sposobami, na które ogół właśnie nie odrazu wpaść może.

Wypowiadając pogląd, że „mężem tym" nie może być żadna pojedyncza osoba, Niemojewski powołał się między innemi na zdanie Zygfryda Lipinera, znakomitego tłomacza dzieł Mickiewicza na język nie-

*) Któż ten mąż? Kraków, 1903.

miecki, we wstępie do tłomaczenia „Dziadów.“ Numer *Prawdy* z artykułem Niemojewskiego został pokazany Lipinerowi i temu zawdzięczamy ukazanie się jego rozprawy w tym samym przedmiocie **). Lipiner, jak zaznacza już przed laty, pisząc wstęp do swego tłomaczenia „Dziadów“ (1887), nosił się z odpowiedzią na pytanie, co znaczy owo 44, lecz, mając jeszcze pewne wątpliwości, nie wypowiedział jej jasno; ukazanie się pracy Niemojewskiego „przeniosło go w te dawno opuszczone dziedziny, a więc, zdawna już wolny od pierwotnych wątpliwości, przedstawia publiczności polskiej swe tłomaczenie zagadki.“ Z góry powiedzmy, ze dla nas tłomaczenie to jest zupełnie przekonywające i rzuca nadzwyczaj ciekawe światło na idee społeczne i polityczne naszego największego wieszcza; ale nawet ten, komu ono nie przemówi do przekonania, albo kto rozwiązania tej zagadki wogóle nie uważa za ciekawe i potrzebne, powinien czytać broszurę Lipinera: znajdzie w niej bowiem mnóstwo głębokich i trafnych uwag, oparte na gruntownej znajomości rzeczy oświetlenie tego, co możnaby nazwać filozofią narodową Mickiewicza.

Lipiner nie zgadza się z Niemojewskim. Nie widzi najmniejszego powodu, dla którego by Mickiewicz, czy też Ksiądz Piotr, mieli widzieć w Litwie dziecię, które uszło, oraz nadzieję przyszłości. Wszak Litwa bynajmniej nie „uszła“ — przeciwnie... I wogóle, różne ważne szczegóły Widzenia nie dadzą się do Litwy zastosować: z jakiej racyi miałaby ona mieć trzy oblicza, trzy czoła, stać na trzech koronach? Co zaś do „patryotyzmu litewskiego“ Mickiewicza, to Lipiner — i to jest odrazu ważny punkt jego pracy — wyświetla jego właściwe znaczenie. Nie jest to bynajmniej jakiś „regionalizm,“ sprzeczny z ideą ogólnej ojczyzny. Pisząc w pierwszym wierszu „Pana Tadeusza“: „Litwo, Ojczyzno moja...“ wbrew nawet prośbom przyjaciół-rodaków, poeta miał na myśli jedynie „kraj lat dziecięcych“ — jak wogóle, pisząc „Pana Tadeusza,“ chciał, chwilowo

. . . . . ptak małego lotu,
pominąć strefy ulewy i grzmotu,
i szukać tylko cienia i pogody,
wieki dzieciństwa, domowe zagrody...

Litwie, jako takiej, Mickiewicz nie przypisywał ważnej roli w historyi Polski. Mówi o niej w kursie literatur słowiańskich, że nie miała właściwego bytu narodowego, ani nawet słów na oddanie pojęcia „naród“ i „ojczyzna“: „wchodzi jakby przypadkowowo w historyę Słowiańszczyzny i zaraz potem zapada na nowo w zupełną nieruchomość.“ Wielką liczbą przekonywających przykładów dowodzi Lipiner, że Mickiewicz uważał siebie, jako Litwina właśnie, zawsze za Polaka, a Litwę — tylko za „kraj lat dziecinnych.“

Odrzucając zatem tłomaczenie „Litwa,“ Lipiner dla odkrycia znaczenia „Widzenia,“ które jest przecież niejako streszczonym poglądem na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość narodu, bardzo słusznie z punktu widzenia metody narodowej przedewszystkiem sięga do innych źródeł, które pozwalają mu wyłożyć treściwie całą historyozofię Mickiewicza. Spełnia on tu zatem część ważnego bardzo zadania, którem jakoś nikt się nie zajmuje: poznać i rekonstruować filozofię historyi naszych poetów z pierwszej połowy XIX w. Wszakże była to epoka, w której filozofia historyi wogóle kwitła i traktowana była nadzwyczaj poważnie, miała poprostu swych wyznawców. To też działa ona wyraźnie i silnie nietylko w poezyi Mickiewicza, który z poetów był w najwyższym stopniu historykiem-uczonym, ale i Słowackiego i Goszczyńskiego i z pewnością innych także.

Filozofia historyi narodowej Mickiewicza, którą Lipiner, znawca wyśmienity wszystkich jego dzieł, przedstawia głównie podług mało znanej pracy „Pierwsze wieki historyi polskiej,“ wydanej dopiero po śmierci poety, ale również z uwzględnieniem prelekcyj itd., jest nadzwyczaj śmiała i radykalna. Zgodnie z teoryą, wówczas powszechną, a i dziś jeszcze przez niektórych głoszoną, chociaż już mocno i—zdaje się — słusznie zachwianą, widzi on w klasach panującej i rządzonej, uciskanej, jednego narodu — poprostu dwa różne narody, obce sobie pochodzeniem. Warstwa niższa, pracująca i rządzona, to Słowiańszczyzna; warstwa wyższa, panująca, wojująca i — uciekająca, to Lechici z Kaukazu, co podbili Polan, ich bracia Czesi, którzy poszli dalej na Zachód, oraz Russowie-Waregowie ze Skandynawii. To odrębne plemię najeźdźców, zdobywców, wnosi dopiero do Słowiańszczyzny ideę państwową. Lud słowianski ją przyjmuje, „wielu zamożnych Polaków staje się nawet Lechami czyli szlachtą,“ a nawet do rządów dochodzi po pewnym czasie *słowiański* ród książęcy, Piastów. Jednak podbita Słowiańszczyzna popada w coraz cięższą niewolę, własność wspólna gromad słowiańskich przechodzi na króla i szlachtę, gromady te ulegają schłopieniu. Królowie piastowscy wprawdzie, jako pochodzenia słowiańskiego, aż do Bolesława Krzywoustego, usiłują ten proces powstrzymać, opiekują się ludem i bronią go od wyzysku i swawoli szlachty, ale napróżno. Naród rozpada się na dwa narody obce, a właściwie narodem pozostaje tylko — szlachta. Chłop-Słowianin zna tylko — „heroizm niewoli.“ Ale jego przodkowie, jego *krewni* — „Bolesławowie— mówi Mickiewicz— występują na ziemię, jako *bohaterowie*: oni byli w całem znaczeniu królami,“ bo „za cały naród żyli.“ Słowiańskie, piastowskie to ich znamię, które później powraca w ostatnim Piaście, królu chłopków.“ Jednakowoż ci *dawni bohaterowie* nie odegrali żadnej roli w ówczesnej historyi heroicznej Europy, w krucyatach. Tu cytujemy znów za Lipinerem własne słowa Mickiewicza: „Powołanie bohaterskie Polski komu innemu było przeznaczone. Ten bohater jeszcze teraz jest w kolebce; za czasów podziału Polski wychodzi z dzieciństwa, za Jagiellonów dopiero ukaże się młodzieńcem. Tym bohaterem będzie nie pojedynczy człowiek, ale cały stan szlachecki, który wtenczas, kiedy się zestarzeje Zachód, ma wziąć w ręce miecz krucyaty; ale i on, *zmarnowawszy młodość, nie dorośnie wieku męża i zostawi dalszą pracę następcy swemu, młodszemu bratu — ludowi polskiemu.*“ Lipiner w tem miejscu zapytuje: „Czyż to nie najkrótszy i najdobitniejszy komentarz Widzenia?“

Istotnie. W Widzeniu tem naród „młody,“ naród szlachecki, „pokolenie nasze“ i „kochanek“ Księdza Piotra, który czuje się z nim zespolonym duchowo, jedyny naród, jaki wówczas istniał, jako taki, ginie z nieodwołalnego rozkazu i wyroku Pana, kona mimo błagań Księdza Piotra, musi wycierpieć całą swą mękę, i kona bez zmartwychwstania. Widać go jeszcze, z przed oczu nie zginął — ale na niebie — w martyrologii dziejów — a na ziemi została po nim tylko „biała jak śnieg szata“ — szata, mówi Lipiner, w którą odziała go poezya wzruszonych narodów całego świata. *Zamiast* niego zaś pojawia się „namiestnik na ziemskim padole,“ ten sam, który był dzieckiem na początku Widzenia, a teraz „urósł duszą i ciałem.“ Otóż, podług historyozofii narodowej Mickiewicza, nie może to być nikt inny, tylko lud — lud słowiański w przeciwstawieniu do narodu lechickiego. Jako taki, jest z punktu widzenia Księdza Piotra, Lechity — „z matki obcej“; „krew jego dawne bohatery“ — dawni książęta i królowie, co służyli jeszcze idei „słowiańskiej.“ Był dziecięciem — bo był niewolnikiem; ale być niem przestaje. Jako dziecię — uszedł tego, co spotkało Lechitów. Aby zrozumieć resztę nadanych mu określeń, trzeba uwzględnić jeszcze dwa punkty, stanowiące właściwą charakterystykę tego ludu słowiańskiego.

Pierwszym i najważniejszym jest komunizm. Mickiewicz, jako historyk, miał przekonanie, że w dawnej Słowiańszczyznie istniała wspólność dóbr, którą dopiero Lechia (szlachta) zburzyła, a jako działacz, wszak wiemy o tem, domagał się jej przywrócenia, bronił jej — w formie *gminnej* — jako nowej idei *narodowej*. Idea ta miała zastąpić dawną wolność szlachecką, która była jej zaprzeczeniem, a która z kolei oto zginąć musiała. „Widomą wolnością indywidualną jest własność indywidualna. Widomą niewolą była bezwłasność włości słowiańskiej. Widomym namiestnikiem wolności, tj. własności indywidualnej, będzie współwłasność (Lipiner, str. 41), ponieważ ona umożliwia wolność bez swawoli, porządek bez tyranii. Dlatego w Widzeniu czytamy o nowym Mężu: „To namiestnik wolności na ziemi widomy!“ On nie wskrzesza dawnej wolności, lecz niesie coś, co ją zastępuje.

Dalej, żyjąc w gminach komunistycznych, Słowiańszczyzna nie wytworzyła nigdy państwa, tej rozumowej, przewidującej organizacyi, prowadzącej jednak za sobą zatargi i spaczenia rozmaite. Ona żyła, wiedziona instynktem dobra poprostu, zachowując tez dzięki temu poczuciu jedność i zgodę całej Słowiańszczyzny. I taką ma też być przyszłość podług widzenia. Nie państwowa, lecz gminna i związkowa. Dlatego to Mąż zbuduje na Sławie (czyli Słowiańszczyznie) „ogromy swojego Kościoła“: wyrażenie Kościół jest umyślnie użyte zamiast: panstwo, dla oznaczenia pojęcia związku czysto duchowego, wykluczającego przymus. Dlatego to Mąż jest ślepy — nie ma może „rozumu stanu“ — i wiedzie go anioł — pacholę, nieomylny instykt pierwotny dobra. Dlatego, gdy Naród, co umarł, miał trzy źrenice, jego Namiestnik ślepy, ma tylko trzy „oblicza“, trzy „czoła“; powyżej objaśniona jedność Słowiańszczyzny tłomaczy, dlaczego stoi na trzech stolicach — na trzech koronach, a sam — jako *nie* państwo — „bez korony.“ Straszny — swą potęgą. Życie jego dotychczasowe — to był istnie „trud trudów,“ trud powolnego wznoszenia się w cierpieniu do spełnienia misyi dziejowej. A „ludem ludów“ jest dlatego, że właśnie spełnia takie posłannictwo ideowe dla całej ludzkości. Księga tajemnicza, rozpięta nad jego czołem — to ta nieznana, niebadana przeszłość jego, z której czerpie. Sława mu! Sława, trzykrotna sława!

A teraz — imię jego? *Nie* może być inne, jak *Gmina*, bo w niem, najprostszem, słowiańskiem, narodowem, streszcza się istota ekonomiczna i polityczna nowej idei. I rzeczywiście, suma liczb, zastępujących litery tego wyrazu, daje 44 podług zwyczajnego, polskiego alfabetu.

A	B	C	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14

G M I N A
7+13+9+14+1=44.

Rozwiązanie to, jako najprostsze, jest też najbardziej przekonywające. Mickiewicz chciał wprawdzie osłonić, ukryć swą najgłębszą, tak niesłychanie radykalną myśl sposobem wówczas dość modnym, a dla kogoś, kto miał w pamięci Biblię, Apokalipsę, tembardziej naturalnym, ale nie szukał w tym celu ani alfabetu staro-słowiańskiego, ani cyfr rzymskich — wziął pierwsze, jakie mu się nastręczały, litery polskie. Mickiewicz, pisząc Widzenie, czuł wewnętrzną, nieodpartą potrzebę wypo-

**) Widzenie Księdza Piotra w trzeciej części „Dziadów.“ Najpierw w „Krytyce,“ t. I, II i IV r. b. Odbitka, Lwów 1904. Nakł. Altenberga.

wiedzenia całej swej najgłębszej myśli, ale zarazem pragnął ją osłonić; wówczas bowiem szło mu o to, żeby nie zajmować stanowiska wśród walczących na emigracyi stronnictw i nie być zaliczonym do żadnego z nich, lecz przeciwnie — jednoczyć całą emigracyę i dodawać jej otuchy. Stąd pochodzi idealizacya szlachty i przeszłości szlacheckiej w dziełach współczesnych, jak „Księgi Narodu,“ „Pan Tadeusz,“ pozornie sprzeczna z powyższą antiszlachecką historyozofią. Ale już „Pan Tadeusz,“ jak słusznie zauważył Lipiner, nosi piętno melancholii, odbite na ciągle powracającem tam określeniu: „ostatni!“ A zresztą później wieszcz pozbył się złudzeń, co do jedności i co do szlachty, i gdy w r. 1848 szło o obiór wodza dla legionu, który on tworzył we Włoszech, dla którego, jak wiemy napisał program komunistyczny, musiał rzucić szlachcie straszne słowa: „Widać, że was topór galicyjski niczego nie nauczył!“...

W ten sposób objaśnione każde słowo w Widzeniu i stanowisko tego utworu w całej twórczości Mickiewicza. Jasnem się staje, że w tak uroczystej chwili poeta ani jednego, pozornie najmniej znaczącego słówka nie wypowiedział przypadkowo, dla rymu, rytmu, czy poprostu dla podniesienia tajemniczości, lecz że każdemu nadał znaczenie niezbędne. Kto chce o tem dowodnie się przekonać, niech czyta samą rozprawę Lipinera. Czytać ją się powinno koniecznie. Żadna z dotychczasowych hypotez nie tłomaczyła tak wszystkiego — bez reszty. To też zaznaczyć trzeba, że Andrzej Niemojewski z całą lojalnością oświadczył w *Bibliotece Samokształcenia*, że zgadza się na tłomaczenie Lipinera.

Dla nas zaś tłomaczenie to ma ważne znaczenie jeszcze pod jednym względem. Uległiśmy przez pewien czas urokowi „narodniczestwa,“ widzieliśmy coś szczególnego, wyjątkowego w przetrwaniu ludowych ideałów komunistycznych u znakomitych pisarzy sąsiednich i u niedawnego pokolenia tamtejszego. Tymczasem studyowanie publicystów demokratycznych z pierwszej połowy XIX stulecia mogło było nas przekonać, a należyta interpretacya „Widzenia“ i całej historyozofii narodowej Mickiewicza przypomina dobitnie, że wszystko to już było, że wszystko to my przeszliśmy także — śladem znowu Zachodu — tylko, jak przystało, wcześniej, no, i oczywiście w formie, odpowiadającej ogólnemu charakterowi epoki. Było u nas i „chodzenie w naród,“ była idealizacya pierwotnego komunizmu wraz z pragnieniem jego powwrotu — i to jaka idealizacya! Tak wstrząsająca i przejmująca, jakiej żaden inny naród nie wydał. Był też w połączeniu z nią i pewnego rodzaju historyozoficzny panslawizm, oparty na wywyższeniu niezepsutej, „ślepej,“ instynktowej Słowiańszczyzny nad „zgniły Zachód“, o którym z takim przekąsem mówi i Mickiewicz, i np. Słowacki w „O potrzebie idei itp.

To wszystko, czego tu dalej snuć nie możemy, przypomina nam Lipiner. Za tę pracę należy mu się serdeczna wdzięczność. Jest on Polakiem z pochodzenia, lecz obok tego przesiąkł kulturą ideową niemiecką, mieszka w Wiedniu, gdzie zajmuje wysoki urząd naczelnego bibliotekarza parlamentu. Dawno przestał był zajmować się rzeczami polskiemi. Jednak głos poezyi naszej odrazu zawrócił go znów ku nam — i przyszedł, niosąc nam dar cenny, swą rozprawę. Musi jednak być coś wielkiego w kulturze, reprezentowanej przez tę poezyę, skoro tak głębokie zostawia ślady i tak ludzi przyciąga.

K. Radosławski.

NA MARGINESIE.

Jad pszczoli uważano dotąd jako płyn w składzie swoim względnie dość prosty. Badania M. Phisalixa, niedawno nad nim przeprowadzone, wykazały nowe i ciekawe szczegóły. Poddawszy wróbla ukąszeniu trzech pszczół, zanotował on następujące spostrzeżenia: po upływie pięciu minut ptak zaczął słabnąć, ruchy jego stawały się coraz wolniejsze, na nóżkach nie mógł się utrzymać, rozwinąwszy skrzydełka do lotu, nie zdołał się wznieść, lecz wlókł się po ziemi, a poruszenia jego były bezładne; wreszcie ogarnęło go drżenie, wzmagające się stopniowo, coś w rodzaju tańca św. Wita, w czasie którego ptak tracił oddech i bezustannie otwierał dziobek, chwytając powietrze. Chwilami ataki ustępowały, wróbel zapadał w senność, lecz w końcu po upływie 2 do 3 godzin nastąpiła śmierć — oddech się zatrzymał, choć serce przez kilka minut bić nie przestawało. Sekcya wykazała krew w sercu czarną, szybko ścinającą się i mięsień w okolicy, zakłótej przez pszczoły, przybrał barwę żółtawą.

Phisalix dla uzupełnienia swych spostrzeżeń uśpił pszczoły chloroformem; w tym stanie wyciągnął im żądło, znajdujące się na końcu odwłoku, zapomocą delikatnych szczypczyków i zanurzył je w wodzie dystylowanej. Jad zciekł natychmiast do wody, która przybrała wygląd mleczny. Ten płyn, zastrzyknięty wróblowi, podziałał tak samo, jak ukłócie pszczoły. Wynika więc z badania, że jad pszczoły, zadany bezpośrednio przez nią samą, zawiera trzy zupełnie różne czynniki: jeden powoduje zapalenie, drugi wywołuje konwulsye, trzeci — osłupienie. Jad, wysiąkający z żądła, jest mieszaniną dwu płynów, wydzielanych przez dwa odrębne gruczoły: jeden z nich wydaje materyę powodującą zapalenie i ogłupienie — to już napewno stwierdzono; drugi — truciznę, wywołującą konwulsye, lecz tego jeszcze nie zbadano dokładnie.

Wiek ziemi jest ciągle kwestyą sporną między uczonymi. Prof. Rutherford z Montreal w Ameryce Północnej wypowiedział przekonanie na konferencyi, mianej niedawno w Londynie, że ziemia jest daleko młodszą, niż twierdzą fizycy i astronomowie. Przypuszczenie swoje opiera on na ubywaniu radu i twierdzi, że to wszystko, co istnieje, za tysiące lat ulegnie zupełnemu przeobrażeniu, tak jak znikła materya kosmiczna, która była przed tysiącem lat, przeistaczając się prawdopodobnie w helium. Lecz prof. Joly z Dublina, zwalczając jego zdanie, stawia zupełnie inne wnioski, oparte na badaniu uranium. Doświadczenia wykazały, że ten ostatni znika daleko powolniej, niż rad, a mianowicie tak powolnie, że na podstawie tego można wiek naszej planety określić na 10 miliardów lat. Prócz tego lord Kelvin, także niemała powaga w tym względzie, wyraża przypuszczenie, że od czasu ochłodzenia się kuli ziemskiej, pozwalającego na rozwój i powstawanie życia roślinnego i zwierzęcego musiało upłynąć 10—20 milionów lat.

Z PRASY.

— W *Birż. Wied.* czytamy:

„Od czasu zjazdu nauczycieli szkół zawodowych (1895 r.), na którym stwierdzono dowodnie opłakany stan naszej hygieny szkolnej i wskazano środki zaradcze, upłynęło lat dziewięć; wątpimy wszakże, ażeby ów stan uległ cokolwiek głębszej zmianie na lepsze. Nic zresztą w tem dziwnego, albowiem szkoła nie posiada nikogo, obowiązanego dbać wyłącznie o poprawę warunków zdrowotnych. Dyrektor i inspektor, przeciążeni zajęciami pedagogicznemi i administracyjnemi, nie mogą się tem zajmować. Można więc rzec zawczasu, że wszelkie zarządzenia pozostaną płonnemi, dopóki lekarze szkolni nie otrzymają takichże praw w radzie pedagogicznej, z jakich korzystają inni jej członkowie.“

Nowosti zaś domagają się odświeżenia ciała nauczycielskiego, pisząc:

„Przeszło trzydziestoletnie panowanie klasycyzmu wytworzyło „klasyczny“ typ pedagoga; dziatwa i młodzież nie są dla niego ludźmi, lecz jedynie materyałem do okrzesania wedle pewnego szablonu; jest to dla niego niepodatny i oporny surowiec, którego formowanie nie sprawia żadnej przyjemności.

Niepodobna wymagać nowych pieśni od starych ptaków. „Klasyczny“ pedagog, chociażby chciał, nie może pozbyć się tradycyj, któremi przesiąkł. Poprawa zaś szkolnictwa zależy nietyle od programu, ile od tego, jak ów program będzie wykonany.

Czasby tedy oczyścić szkołę od zaśniedziałych pedagogów. Czas już, ażeby serdeczna troskliwość zastąpiła laskę kapralską i stała się jedynym orężem wychowania.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Komisyom gubernialnym do spraw włościańskich nadano prawo przenoszenia urzędów gminnych z jednej wsi do drugiej bez odwoływania się do władzy wyższej.

— Zatwierdzono ustawę stowarzyszenia wzajemnej pomocy na przypadek choroby i zabezpieczenia starości w Kaliszu.

— Ubodzy izraelici, pozostający w Warszawie bez zajęcia, którzy chcą powracać do swego miasta rodzinnego, mogą otrzymać bezpłatne bilety kolejowe w towarzystwie „Pomocy bratniej“ po złożeniu prośby i paszportu

— *Pet. Wied.* donoszą, że Żydzi niektórych miast gubernialnych w Królestwie Polskiem tudzież rzemieślnicy Żydzi z Chersonu starają się w ministeryum spraw wewnętrznych o pozwolenie zamieszkiwania wszędzie, nie wyłączając wsi i osad. Prośba jest uzasadniona olbrzymim natłokiem rzemieślników w obrębie osiadłości żydowskiej, skutkiem którego i rzemiosła upadają, i zarobek rzemieślników.

— Rozporządzające milionami żydowskie Towarzystwo „Ica“ wyznaczyło w r. z. 4,000 rb., za które osobny komitet w Petersburgu miał przesiedlać rzemieślników-Żydów w głąb Cesarstwa, gdzie inni Żydzi nie mają prawa pobytu. Tymczasem komitet ów wydał tylko 270 rb., mimo, że „Ica“ obiecało jeszcze powiększyć sumę 4,000 rb. Rzemieślnicy żydowscy nie chcą podobno wyjeżdżać do Rosyi, bez względu na obiecane wsparcie (*Gaz. Pols.*).

— *Kur. Poznański* donosi, że „Zarząd utworzonego w Inowrocławiu związku niemieckich Towarzystw miejscowych obradowało nad wnioskiem magistratu, dotyczącym zmiany nazwy Inowrocławia na „Hohensalz“. Wyrażono zgodność z zapatrywaniem magistratu, że na miejsce nazwy, wziętej z języka polskiego, i to jeszcze zepsutej, nada się miastu nazwę niemiecką.“

Szkoły i wychowanie. Rozesłany został okólnik do kuratorów okręgów naukowych, ażeby przy przyjmowaniu Żydów do uniwersytetów uwzględniono przedewszystkiem podania tych, którzy już lat poprzednich o to się starali.

— Wyjaśniono, że stypendyści rządowi, którzy po ukończeniu kursów w seminaryum pełnili obowiązki nauczycieli szkół początkowych najmniej przez dwa lata, mają prawo, w celu dalszego kształcenia się na nauczycieli szkół miejskich, wstępować do instytutów nauczycielskich, z tem jednak zastrzeżeniem, że pozostały czas obowiązkowej służby nauczycielskiej ma być dopełniany bezpośrednio po ukończeniu dodatkowych kursów w instytucie nauczycielskim.

— Ministeryum oświaty ze względu na to, że w niektórych uniwersytetach wykłady pedagogiki są i teraz już prowadzone na kursach specyalnych, uznało za pożyteczne wprowadzenie jej jako przedmiotu obowiązkowego w tych uniwersytetach, które w swym skła

dzie profesorskim posiadają osobę, odpowiednio do prowadzenia tych wykładów przygotowaną.

— W ministeryum oświaty otworzony został II departament dla spraw ogólnych szkół wyższych, średnich i niższych. Przy departamencie I pozostaną tylko sprawy inspekcyjne, rachunkowe i gospodarcze.

— Szkoły prywatne, handlowe otrzymały rozporządzenie z ministeryum skarbu, aby nauczycielom, powołanym do służby wojskowej, lub ich rodzinom, wypłacały pobierane przez nich pensyę w ciągu całego czasu przebywania na wojnie.

— Egzaminy konkursowe dla kandydatów do politechniki warszawskiej rozpoczną się d. 31 b. m.; dotychczas wniesiono 574 podań, w tej liczbie 1 1 od Żydów i 23 od kandydatów, którzy posiadają świadectwa z ukończenia wyższych zakładów naukowych i egzaminu konkursowego nie zdają.

— Dnia 14 września r. b. w ministeryum oświaty w Petersburgu nastąpi otwarcie kursów statystycznych, których wychowańcy otrzymywać będą posady w instytucyach statystycznych w Cesarstwie. Przyjętych będzie 100 kandydatów; nauka bezpłatna.

Departament oświaty wyjaśnił, że uczniom szkół realnych, którzy zdali egzamin dodatkowy z języków starożytnych, ma być wydane świadectwo specyalne z adnotacyą, że posiadany przez daną osobę patent szkoły realnej, łącznie z wymienionem świadectwem na zasadzie rozkazu Najwyższego z d. 29 listopada 1903 r., dają wszelkie prawa, przysługujące posiadaczom patentów dojrzałości.

— Towarzystwo akademickie w Coethen zawiadamia interesowanych, że udziela wszelkich informacyj, dotyczących studyów w wyższym instytucie technicznym w Coethen. Adres: Polnischer Akad. Verein Filomatia in Coethen-Anhalt. Pr. von Preussen — Takichże objaśnień udziela stowarzyszenie akademickie w Bernie pod adresem: Polnischer Leseverein, Marktgasse, 9, Ben Schweiz.

Zdrowie publiczne. *Praw. Wiest.* ogłosił rozkaz Najwyższy o utrzymaniu nadal organizacyi rządowej pomocy lekarskiej w gub. Płockiej. Etaty lekarzy pozostają bez zmiany, opłata zaś na utrzymanie pomocy będzie pobierana od d. 14 stycznia 1907 r. w stosunku następującym: o) od właścicieli gruntów wiejskich oraz z gruntów miejskich, uprawnych po 11% przypadającego z nich podatku skarbowego; b) od właścicieli innych nieruchomości miejskich po 12½% przypadającego z nich podatku skarbowego i c) od właścicieli zakładów handlowych i przemysłowych — w wysokości, którą określi minister spraw wewnętrznych, a która nie może przekraczać 10% pobieranej z nich do r. 1899 opłaty za prawo handlu, patenty i świadectwa handlowe.

Ze sztuki. Dnia 1 października otworzona będzie wystawa jubileuszowa Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie.

Sprawy ekonomiczne. *Warsz. Dn.* donosi, że obroty warszawskiego oddziału Banku państwa skutkiem zastoju w handlu i przemyśle miejscowym zmniejszyły się o 30%.

— Powstał projekt upaństwowienia wodospadów w państwie rosyjskiem.

— Działalność Banku włościańskiego ma być rozciągnięta na prowincye nadbałtyckie.

— Urzędy rzemieślnicze kilku miast gub. południowych zwróciły się do ministeryum spraw wewnętrznych z prośbą o zniesienie zakazu pracowania w dni świąteczne lub przynajmniej o zmniejszenie liczby tych dni, obecnie bowiem przez 80 dni w roku warsztaty i sklepy muszą być zamykane.

Koleje i komunikacye. Od 1 września wprowadzone zostaną bilety powrotne wszystkich trzech klas, ważne na 60, dni w bezpośredniej komunikacyi osobowej pomiędzy Odesą, Kijowem i Charkowem z jednej strony a Karlsbadem, Franzensbaden i Marienbadem z drugiej.

— Opracowany został projekt połączenia Wisły [illegible]

— Ministeryum komunikacyj ogłasza, że z powodu wojny wycofano z obiegu około 400 wagonów kl. III oraz część kl. II, skutkiem czego podróżni muszą uwzględnić niewygody pochodzące z braku miejsca w pociągach.

Katastrofy. Na kolei Missouri-Pacific, pod pociągiem zwanym „Kuryerem wystawowym," załamał się most na rzece Arkanzas, pod Pueblo — utonęło lub zostało zabitych 65 osób, mnóstwo pokaleczonych.

— Parowiec angielski „Hoangho" rozbił się w zatoce Chimmo, w pobliżu Amoy — z 400 podróżnych ocalało tylko 52.

Pożary. We wsi Krysinki, pow. Ostrołęckim, spaliło się 110 zabudowań wraz z dobytkiem; cała wieś Wyłazy w pow. Siedleckim; we wsi Kaleń, pow. Rawskim — 74 budynki gospodarcze i domy mieszkalne; we wsi Brudki, pow. Ostrowskim — 40 budynków wraz ze zbiorami tegorocznymi; w os. Jerzów, pow. Brzezińskim — 30 posiadłości z 80 budynkami; w miasteczku Ożarowie, pow. Opatowskim — 28 domów; w Wólce Bossowskiej, pow. Stopnickim — 28 zagród z całym dobytkiem; w os. Kamieńsk, pow. Piotrkowskim — 74 posesye wraz z wszystkiemi zabudowaniami gospodarczemi.

Zmarli. Otton Brausewetter, wybitny malarz historyczny, niemiecki, w Berlinie.

— Karol Józef Joachim, popularny pisarz ludowy szwajcarski

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою Варшава, 6 Августа 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.